MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 32. WARSZAWA, 23 LIPCA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

IDEOLOGJA BIUROKRACJI

JUŻ od dłuższego czasu niektóre wystąpienia nielicznych zresztą organizacyj młodzieży sanacyjnej budzą niepokój nietylko wśród przeciwników obozu rządzącego, ale także w kołach... Bezpartyjnego Bloku.

„Legjonowi Młodych“ podoba się ogromnie to, co zrobiła Rosja Sowiecka. Imponują im Magnietogorski i Dnieprostroje, piękne obrazki przedstawiające wspaniałe budowle sowieckie i nie mniej piękne „reportaże“ różnych *Knickerbocker*'ów polskich i amerykańskich.

U podstawy tych marzeń tkwią podświadome może, a w każdym razie skrzętnie ukrywane nadzieje na... posady przy biurkach urzędniczych. Zapewne przy Dnieprostroju wznosi się potężny rozmiarami gmach, w którym umieszczono 1000 biurek amerykańskich i tysiąc wygodnych foteli, przy których będzie można urzędować. Zapewne olbrzymi aparat gospodarki planowej wymagać będzie wielu „dyplomowanych“ i „wykwalifikowanych“ pracowników umysłowych. Jednem słowem państwo pracy... papierowej. Oto ideał młodego pokolenia.

Ideał ten przesłania rozkosznym bobaskom rzeczywistą rzeczywistość Rosji i Polski. Nie widzą oni, że oba te kraje uginają się w tej chwili pod ciężarem wielotysięcznej biurokracji, której obca jest myśl o samodzielnej pracy, i kilkudziesięciu dyktatorów przemysłu.

Czy dyktatorzy ci nazywają się dyrektorami trustów sowieckich, czy też dyrektorami polskich karteli — to już nie jest rzecz tak istotna, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało. Podobnie nie jest istotną sprawą to, czy tysiące biurokratów nazywa się po polsku pracownikami umysłowymi, czy też po rosyjsku „*aparatczykami*“.

Nic dziwnego, że młode pokolenie sanacyjne, wychowane pod urokiem potęgi dzisiejszej biurokracji, ulega sugestji. Samo chce także mieć dobre posady, jaknajwięcej dobrych posad. Marzy skrycie o tem, by mogło na wzór swych ojców duchowych spędzać noce w takiej na przykład „Adrji“, czy innej żydowskiej knajpie.

Byłoby natomiast rzeczą nad wyraz niebezpieczną, gdyby ideologja *aparatczyków* ogarnęła szerokie rzesze młodzieży. Nie wolno traktować władzy jako sposobu zdobycia chleba dla tych, którzy o tę władzę walczą, a chleba, jako celu tej walki. Ideałem młodego pokolenia w życiu prywatnem powinno być samodzielne zdobycie sobie kawałka chleba, a w życiu publicznem zdobycia władzy w tym celu, by móc każdemu umożliwić uzyskanie kawałka chleba.

Natomiast niepokojące są dążenia do planowej eksploatacji społeczeństwa przez zorganizowaną biurokrację. Trudno to nazywać „ideologją“. Młode pokolenie narodowe ustrzec się może łatwo przed wkraczaniem na te bezdroża.

Wszak ustalił się już pogląd, że tylko jaknajwiększa ilość samodzielnych, na pracy kierownika i właściciela opartych przedsiębiorstw zapewnić może dobrobyt narodowi, a rola państwa winna się ograniczać do usuwania z życia gospodarczego elementów obcych i do wytyczania ogólnych dróg rozwoju gospodarczego przy pomocy najprostszych i nie wymagających wielkiego nakładu środków.

Kończy się już w jednych państwach (Stany Zjednoczone), (Niemczy) a w innych niewątpliwie się skończy okres dyktatury potęg anonimowych. Na widownię znów występuje człowiek, samodzielnie pracujący, niepotrzebujący opiekuńczych skrzydeł pań-

stwa, ani oddania się na łaskę i niełaskę bezimiennego kapitału. Człowiek, którego ideałem nie jest dzielenie dóbr, ale tworzenie dóbr, tworzenie nowych wartości.

Obecne przesilenie, wykazując katastrofalne skutki przerostu funkcji dzielenia i wykazując zdolność do życia tych, którzy najmniej z planowego dzielenia korzystali, poucza nas, że najwyższy czas stworzyć warunki dla pracy samodzielnych jednostek. Tą tylko drogą, a nie przez stwarzanie martwego aparatu biurokracji, dziwnie jakoś w praktyce sympatyzującego z aparatem anonimowego kapitału, dojść możemy do prawdziwego przełamania kryzysu, nie tylko tego „konjunkturalnego“, ale także „strukturalnego“.

Wszakże głównym błędem struktury naszego życia gospodarczego jest brak narodowego stanu średniego, brak małych i średnich właścicieli, małych i średnich przedsiębiorców. Natomiast nie możemy się uskarżać na brak fenomenalnie uzdolnionych aparatczyków anonimowego przemysłu, którzy każdej chwili byliby gotowi przy współudziale młodszych entuzjastów planowości kontynuować w ulepszonej formie obecny system wyzysku „małego człowieka“.

Niewątpliwie młodzi ludzie z Legjonu Młodych nie zdaję sobie sprawy jak dalece ideologja ich pokrywa się z ideologją potentatów, których mieszają z błotem w każdym numerze „Państwa Pracy“. I tym i tamtym chodzi o to, by zdobyć chleb z masłem, a także i ewentualnie samochód bez,.. realnej, uczciwej pracy.

Ideologja biurokracji w naszych czasach staje się jednak na szczęście coraz bardziej — przestarzałym zabytkiem.

WOJCIECH ZALESKI

O BISKUPSTWO GRECKIE W SANOKU

DOŚĆ WIELE miejsca zajmuje w prasie w ostatnich czasach sprawa zamierzonego, czy nawet już postanowionego utworzenia nowej djecezji grecko-katolickiej, obejmującej Łemkowszczyznę, z siedzibą biskupią w Sanoku. Prasa polska dość jednomyślnie wypowiedziała się w tym duchu, że to biskupstwo jest zbędne.

Pragnąłbym parę słów sprawie tego nowego biskupstwa poświęcić, bo wydaje mi się, że sprawa ta nie jest tak prosta, jak to prasa przedstawia.

Należy oddzielić zasadę od wykonania. Sprawę założenia nowego biskupstwa od sprawy sposobu jego obsadzenia.

Wydaje mi się, że utworzenie osobnego biskupstwa grecko-katolickiego dla Łemkowszczyzny jest z naszego stanowiska pożyteczne. Łemkowszczyzna jest dziś z punktu widzenia organizacji kościelnej zależna od Przemyśla, — to znaczy od silnego gniazda ukrainizmu. Decyzja w sprawie mianowania każdego parocha w byle zapadłej wiosce góralskiej na Łemkowszczyźnie zależy od kurji przemyskiej, która usposobiona jest w duchu szowinistycznie ukraińskim.

A tymczasem Łemkowszczyzna to bynajmniej nie jest teren dla ruchu „ukraińskiego“ podatny. Łemki, jest to ruski lud góralski, mówiący gwarą dość odrębną, skłaniającą się ku polszczyźnie i ku słowaczczyźnie — i pod względem narodowym dość bezbarwny. Ma on świadomość, że jest szczepem ruskim, — ale z tą świadomością szczepową, czy raczej z tem podświadomem poczuciem, nie kojarzy się u niego określona świadomość narodowa. Agitacja „ukraińska“ dotąd nie zdobyła sobie na Łemkowszczyźnie oparcia. Natomiast istnieją tam wcale silne prądy filorosyjskie, — zresztą dość nienaturalne wobec niepodobieństwa oparcia się tego kraiku o odległą terytorjalnie i bynajmniej mu nie pokrewną Rosję. Skutkiem tych prądów są poważne w ostatnich latach sukcesy prawosławia w tych stronach.

Ogółem biorąc, jest to kraik, który nie czuje się częścią jakiejś większej całości polityczno-narodowej, lecz — oscylując między polskością, rosyjskością, i „ukraińskością“ — pozostaje sam sobą.

Z punktu widzenia polskiej racji stanu pożądaneby było, by kraik ten przechylił się w końcu ku polskości. Ale by mogło się to stać — potrzeba jest sporo czasu. Naszym postulatem narodowym wobec Łemkowszczyzny na dziś jest, by nie weszła w orbitę wpływów „ukraińskich“. A skoro kurja biskupia przemyska jest głównym przewodem, który na Łemkowszczyznę — przez nasyłanie „ukraińskich“ parochów — wpływy „ukraińskie“ sączy, — naturalnym zupełnie postulatem staje się oddzielenie Łemkowszczyzny od Przemyśla i wytworzenie na samym jej terenie nowego, samodzielnego ogniska władzy cerkiewnej.

Nie jest bynajmniej pogląd słuszny, by z punktu widzenia stosunków narodowościowych podział djecezji na kilka djecezji mniejszych miał zawsze mieć za skutek pomnożenie liczby ognisk tej idei narodowej, która w niepodzielnej djecezji dominowała, — a tem samem uprzystępnienie tej idei ogółowi ludności. Czasami może być wręcz odwrotnie: utworzenie nowej djecezji może oznaczać emancypację terenu, który był przez przewagę wyznawców tamtej idei przytłoczony.

Gdyby Łemki byli rozproszeni śród ludności obrządku łacińskiego, gdyby to rozproszenie powodowało śród nich tendencje do przechodzenia na ten obrządek, — założenie tam nowego, grecko-katolickiego biskupstwa, któreby się wyłącznie nimi mogło zająć, i innemi obowiązkami nie było obarczone, byłoby faktem z polskiego narodowego punktu widzenia niepomyślnym: przeciwstawiałoby się procesowi rozpływania się Łemków śród ludności łacińsko-polskiej, z natury rzeczy dla nas pożądanemu. Z podobnych właśnie względów społeczeństwo polskie dąży do utworzenia nowego łacińskiego biskupstwa w Tarnopolu, które — znajdując się na miejscu, — łatwiej mogłoby się zaopiekować rozpływającą się śród greko-katolików ludnością łacińską w tarnopolszczyźnie, niż odległy i przeciążony innemi obowiązkami Lwów. Ale między położeniem łacinników w Tarnopolszczyźnie, a greko-

katolików na Łemkowszczyźnie niema analogji. Łemki żyją w zwartej masie, — do przechodzenia na obrządek łaciński wcale nie mają tendencji. Mają conajwyżej tendencje do przechodzenia na prawosławie, czemu założenie nowej djecezji może istotnie stworzyć pewną przeciwwagę, — ale rywalizacja na tym terenie między prawosławiem a unją jest z naszego ściśle narodowego punktu widzenia faktem conajmniej obojętnym. A jeśli chodzi o nasze narodowe interesa na Łemkowszczyźnie, rzecz polega nie na tem, by tam sparaliżować wpływ unji i zastąpić go obrządkiem łacińskim (jak to — w odwrotnym kierunku — chcą czynić „Ukraińcy“ w Tarnopolszczyźnie, czy gdzie indziej), bo możliwość ekspansji obrządku łacińskiego na tym terenie narazie w rachubę nie wchodzi, — lecz na tem, by w obrębie Unji wyemancypować Łemków z pod wpływu kurji przemyskiej.

Nie wydaje mi się, by powstanie nowej djecezji na Łemkowszczyźnie mogło — nawet w razie jej obsadzenia przez najdogodniejszego dla Rusinów kandydata — zbyt wiele dać obozowi ruskiemu. Administrować terenem, który nie jest zagrożony, lecz jest tylko bierny i bezbarwny, można i z odległości. Czy kurja będzie tuż pod ręką, czy w nieco dalszym (zresztą również dość bliskim) Przemyślu, — to postaci rzeczy nie zmienia. Przez założenie nowego biskupstwa w Sanoku, czy gdziekolwiek indziej na Łemkowszczyźnie, nie powstanie ani jeden fakt, któryby dla obozu ruskiego przynosił tam jakąkolwiek zasadniczą zmianę na korzyść: nie zaistnieje ani jedna możliwość prowadzenia z tamtąd pracy w duchu „ukraińskim“ śród Łemków, skuteczniejszej, niż z Przemyśla.

Dla interesu narodowego polskiego natomiast powstanie tego nowego biskupstwa przyniesie szereg korzystnych zmian zupełnie zasadniczych.

Łemkowszczyzna zamknie się we własnych granicach. Zniknie możliwość obsadzania parafji przez młodych parochów, pochodzących z dalszych stron, — z obszaru opanowanego przez ruch „ukraiński“ — i wychowanych w duchu szowinistycznym, — przewracających następnie do góry nogami swoje parafje i zaszczepiających im ducha ukrainizmu. Z natury rzeczy zapanuje znów na Łemkowszczyźnie proboszcz-tubylec, wychowany w spokojnej atmosferze tego kraiku, urobiony przez zachodnio-małopolskie szkolnictwo, silnie podległy wpływom polskim i obojętny na to wszystko, co jest treścią zainteresowań i namiętności ruskiego księdza z wschodnio-małopolskich nizin, czy choćby z Huculszczyzny i Bojkowszczyzny. Zjawia się nawet możliwość odrębnego zorganizowania studjów teologicznych dla Łemkowszczyzny, — to znaczy uwolnienia kleryków-Łemków od konieczności przebywania choćby lat parę w takich ogniskach nacjonalizmu ruskiego, jak dotychczasowe ruskie seminarja.

Obok tego i w samej kurji biskupiej nowego biskupstwa z natury rzeczy wytworzy się atmosfera, niepodobna do atmosfery, panującej w kurji w Przemyślu, czy we Lwowie. Choćby biskup był najzaciętszym „Ukraińcem“, — nie będzie on mógł całego sztabu współpracowników przywieźć ze sobą z poza obszaru swej nowej djecezji. Będzie się on musiał oprzeć na duchowieństwie miejscowem, — z natury rzeczy element tubylczy w atmosferze kierowniczej nowego biskupstwa silnie się zaznaczy. Niejeden ksiądz łemkowski, który w warunkach przynależności do djecezji przemyskiej nie mógł się wybić, tutaj z robi duchowną karjerę. Można z góry być pewnym, że między biskupstwami grecko-katolickiemi w Polsce, biskupstwo łemkowskie, w którem potężnie będą się zaznaczać wpływy staroruskie, oraz nastroje narodowo bezbarwne, „tutejsze“, będzie biskupstwem najmniej opozycyjnie usposobionem wobec Polski, a nawet może wręcz wobec polskości ugodowem i skłonnem do poddania się kursowi asymilacyjnemu. Mamy już przykład na biskupstwie stanisławowskiem, obejmującem Podkarpacie (o wiele mniej nacjonalistycznie po rusku usposobione, niż niziny), że na rozdrobnieniu djecezyj ruskich interes narodowy polski bynajmniej źle nie wychodzi: nietylko indywidualności biskupa Chomyszyna, ale i atmosferze miejscowej, podkarpackiej, zawdzięczać należy, że cerkiew unicka w Stanisławowskiem jest lojalniesza państwowo, niż w archidjecezji Lwowskiej.

Jeżeli mam coś do zarzucenia projektowi utworzenia nowego biskupstwa, to to tylko, że siedziba jego ma być w Sanoku, a więc dość daleko na wschodzie. Byłoby lepiej, gdyby się ona znalazła w Jaśle, a jeszcze lepiej w Nowym Sączu. Zdala od ognisk „ukrainizmu“, w promieniu oddziaływania Krakowa, w mieście czysto polskiem, w którem zebrana tam grupa duchowieństwa greckiego tylko ze społeczeństwem polskiem mogłaby nawiązać stosunki, łatwiej wytworzyłaby się atmosfera, analogiczna do tej, która panowała przed wojną śród duchowieństwa unickiego na Rusi Węgierskiej, a jeszcze wcześniej — w unickim Chełmie. Albo do tej, która, zjawiwszy się w swoim czasie w arcybiskupstwie ormiańskiem we Lwowie, przyczyniła się z biegiem czasu do całkowitej asymilacji polskich Ormian.

Nie wiem, z jakich motywów projekt utworzenia djecezji łemkowskiej się wyłonił. Czy zadecydowały tu względy czysto kościelne (konieczność walki z szerzącem się śród Łemków prawosławiem), czy jakieś rachuby sanacji, czy jeszcze inne przyczyny. Ale bez względu na to, skąd inicjatywa się wzięła, — jest ona z narodowo-polskiego punktu widzenia pożyteczna i zwalczać jej niema powodu.

Oczywiście, zupełnie odrębnem zagadnieniem jest sprawa obsadzenia nowej stolicy biskupiej. Gdyby tam miał zasiąść nominat — „Ukrainiec“, — mogłoby to interesowi narodowemu polskiemu przynieść wiele szkód. To też niepokój o osobę nowego biskupa jest słuszny. Ale z samą zasadą utworzenia nowego biskupstwa nie ma to nic wspólnego.

Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego podział djecezji Przemyskiej należy uważać za korzystny dla polskości.

W obrębie nizinnej części djecezji Przemyskiej, — w ziemi Przemyskiej, Jarosławskiej, Łeżajskiej, nawet Rzeszowskiej, żyje spora masa ludności, grecko-katolickiej z wyznania, lecz polskiej z języka i z narodowości. Dla ludności tej w wielu cerkwiach wygłaszane tam są nawet polskie kazania.

Ludność ta stanowiła śród wiernych djecezji Przemyskiej dotąd odsetek znikomy.

Ale teraz, gdy odpadnie od djecezji Przemyskiej cała Łemkowszczyzna, to znaczy wielka masa wiernych, wprawdzie narodowo bezbarwnych, lecz bądź co bądź zaliczających się do szczepu ruskiego, ciężar gatunkowy tej polskiej ludności w obrębie okrojonej djecezji Przemyskiej automatycznie wzro-

śnie. Automatycznie podskoczy jej procent śród wiernych tej djecezji, — która wyraźniej stanie się djecezją narodowościowo mieszaną, polsko-ruską.

Marzenie o polskiem duchowieństwie w tych polskich, grecko-katolickich parafjach, a tembardziej o polskim biskupie-sufraganie w grecko-katolickiej djecezji Przemyskiej jest dzisiaj tylko marzeniem. Ale marzenia nieraz się spełniają. Łatwiejsza jest walka o prawa ludności polskiej w okrojonej djecezji przemyskiej, niż w nieokrojonej.

Tak to jedno posunięcie może pociągnąć za sobą podwójne korzyści: miejsce jednej, silnej, „ukraińskiej" djecezji Przemyskiej mogą zająć dwie djecezje, z których jedna będzie po łemkowsku ugodowa, a druga będzie podszyta polskością. Dzisiejszy ukrainizm djecezji Przemyskiej ma oparcie duchowe na nizinach i oparcie o masy — na pogórzu.

Gdy odciąć góry od nizin — zostanie się na nizinach ośrodek duchowy ukraiński o znacznie zmniejszonem oparciu w masach — i zostaną się masy w górach o znacznie osłabionem ukraińskiem centrum.

Komu to przyniesie pożytek, — polskości, czy ukrainizmowi? — Odpowiedź sama się rzuca w oczy.

JĘDRZEJ GIERTYCH

FORPOCZTY MASONERJI W POLSCE

WOLNOMYŚLICIELE I BEZBOŻNICY[1])

WCZEŚNIE przejawiło swoją działalność jedno z najbardziej awangardowych stowarzyszeń masońskich, mianowicie Stowarzyszenie wolnomyślicieli polskich, którego statut został zatwierdzony w lecie roku 1921.

Najbardziej czynnymi akuszerami przy narodzeniu się stowarzyszenia wolnomyślicieli byli Ignacy Halpern, profesor Wolnej Wszechnicy, obecnie członek loży niemieckiej, potem drugi żyd Józef Landau i trzeci żyd D. Jabłoński. W sukurs im przyszedł czwarty żyd żdemaskowany ostatecznie, jako bolszewik a ukrywający się pod różnymi szyldzikami i używający nazwiska starej szlacheckiej rodziny z lubelskiego, jako pseudonimu; mowa tu o „Janie Hemplu".

Stowarzyszenie Wolnomyślicieli, kierowane przez masonerję, postawiło sobie za zadanie między innemi „domaganie się nietylko usunięcia ze szkół religji, jako przedmiotu obowiązkowego, ale także zupełnego uniezależnienia szkoły państwowej od wpływów kościelnych, zniesienia wszelkich przywilejów kościoła rzymsko katolickiego i zupełnego oddzielenio kościoła od państwa".

Ze stowarzyszeniem wolnomyślicieli połączyła się założona w r. 1922 „Wspólnota Twórczości". Wspólnota zorganizowana była przez żyda M. Lubeckiego i składała się z samych prawie żydów. Członek Wspólnoty musiał zerwać z wszystkiemi istniejącemi wyznaniami. Wspólnota uważa się za „zbór wolno-religijny". Oczywiście zerwanie ma znaczenie tylko dla chrześcijan, bo stowarzyszenie to jest z ducha żydowskie, ma na celu zwalczać nacjonalizm z punktu widzenia etyki (oczywiście żydowskiego nacjonalizmu nie rusza), zwalcza uprzedzenia do żydów, a szczególnie ostro występuje przeciwko niechęci do małżeństw mieszanych, polsko-żydowskich.

Cel tego masońskiego stowarzyszenia jest wyraźny. Działalność zaś stow. Wolnomyślicieli połączonego z Wspólnotą twórczości nie dała na siebie czekać. Dla inteligencji specjalnie powstał w roku 1930 miesięcznik „Racjonalista", jako organ warszawskiego koła intelektualistów Polskiego Związku myśli wolnej. Rej w nim wodzą p. Tadeusz Kotarbiński, prof. Henryk Ułaszyn (z Poznania) i wzmiankowany już Józef Landau.

Z wyroków procesów sądowych, o których nieraz czytamy w gazetach, widać że różne koła towarzystwa Wolnomyślicieli uprawiają, oprócz wyraźnego bezbożnictwa i zwalczania katolicyzmu, także i propagandę bolszewizmu. Stowarzyszenie Wolnomyślicieli prowadzi również akcję przeciw rodzinie chrześcijańskiej, dążąc do jej rozsadzenia. W skutkach mamy bezecny napad w klasztorze częstochowskim oraz znaną akcję w szkołach, rozluźniającą moralność (np. Łomża), przeciwko księżom katechetom. przeciw wykładowi religji w szkołach itp.

Zwraca uwagę pewna cicha kooperacja między filaretami a wolnomyślicielami, polegająca na wypożyczaniu sobie ludzi, t. j. te same osoby widzi się czynne w obu stowarzyszeniach, pp.: Kotarbiński, Ułaszyn, Weychert-Szymanowscy i t. p. Prof. Szymanowski wsławił się rozkazem usunięcia krzyża z auli Inst. Weterynaryjnego.

Charakterystyczne jest również, że wśród członków stow. wolnomyślicieli obok żydów duży procent stanowią protestanci i kalwini i oni to najzajadlej występują przeciwko kościołowi katolickiemu, bo właściwie główną walkę prowadzi się z katolicyzmem. Reszta to mydlenie oczu.

PLANOWA OFENSYWA WOLNOMULARSTWA

Polska została przez masonów podzielona na grupy zawodowe, które znów masoni starają się opanować przez swoich ludzi. I tak w przemyśle i w jego organizacji, czyli w Lewiatanie, grają niepoślednią rolę p.p. Natansonowie. Prezesem Związku polskich hut żelaznych jest b. minister pracy L. Darowski, o którym powszechnie wiadomo, że należy do wolnomularzy; w spółdzielczości działają masoni Thugutt i Z. Chmielewski. Thugutt łącznie z masonem dr. Motzem (tym z Paryża), mają wpływ na ruch ludowy. Dużo jest także masonów wśród ludowców sanacyjnych. Kierownictwo Naczelnej Izby lekarskiej znajduje się w rękach masonów starej daty: d-ra W. Chodźki bardzo czynnego politycznie w okresie okupacji i d-ra Michałowicza. Podobnież prezesem Naczelnej rady adwokackiej jest mason adw. Fr. Paschalski. Związek dziennikarzy jest w rękach masonerji (prezesi: Beaupré, Stefan Grostern, i in.). PEN-club, jako też i Związek zawodowy literatów polskich steruje pod flagą masońską, którą dzierży p. Juljusz Kaden-Bandrowski; podobno do wolnomularzy przystąpiła przed paru laty i Zofja Nałkowska, obecna prezeska ZZLP.

[1]) Ob. „Myśl Narodową" nr. 30 i 31.

Ant. Ossendowski, prezes Tow. Liter. i Dziennikarzy Polskich jest także wolnomularzem. Specjalnie wśród kobiet działa Związek pracy obywatelskiej kobiet, opanowany przez wolnomularzy. Na terenie Związku czynna jest p. Kipowa z domu Wasserberg, żona historyka Kipy, wielkiego sekretarza Wol. Loży Polski. Te wpływy masońskie filtrują się i przez p. Waśniewską posłankę z B B. Nawet takie stowarzyszenie, jak Polskie Tow. Krajoznawcze jest przez nich opanowane (A. Janowski).

Od kilku lat masonerja stara się usilnie o to, aby zakładać jaczejki na terenie życia kulturalnego, stopniowo poddawane są jej wpływom różne instytucje. Opanowany jest przez nią całkowicie Związek młodzieży wiejskiej, gdzie wybitną rolę gra antyklerykał i jak mówią ateista Kazimierz Maj, całkowicie w rękach masonerji znajduje się Związek nauczycielstwa polskiego (dawniej Związek nauczycieli szkoł powszechnych), który z uporem dąży do całkowitej laicyzacji szkolnictwa, nie już na wzór francuski, ale — bolszewicki. Związek odegrał wybitną rolę w ostatnio przeprowadzanej reformie szkolnictwa nie tylko niższego, średniego, ale i wyższego. Wpływom wolnomularzy poddany jest i Związek Teatrów Ludowych, jak i wogóle cała Federacja oświatowa organizacyj społecznych, w której kierowniczą rolę odgrywają pp. Kaz. Maj, Kaz. Czapiński, osobisty nieprzyjaciel Pana Boga i księży, żydówka Helena Orsza-Radlińska, wybitna masonka, siostra wybitnego wolnomularza Br. Rajchmana. Polski Fidac jest pod wpływem masonerji. Na jego czele, jak wiadomo, stoi gen. Górecki, dyr. Banku Gosp. Kraj. Niemal cała delegacja polska w Lidze Narodów należy do masonów. Tę tradycję rozpoczął dr. W. Chodźko, inż. Sokal i dr. Rajchman. Wysokiego stopnia masonem jest prof. B. Dembiński, prez. grupy polsk. Unji Międzyparlamentarnej, prez. gener. Tow. Przyj. Ligi Narodów i wiceprez. zarządu Międz. Tow. Ligi Narodów, oraz p. Fr. Putaski.

Na odcinku kulturalnym współpracuje z organizacjami masońskiemi „seksual-demokracja", mająca na celu zburzenie rodziny i religji. Akcja na tym terenie prowadzona jest pod przewodem Boya-Żeleńskiego, po kądzieli frankisty, któremu w sukurs pośpieszyli hurmem żydzi. Istnieją dane, że Boy jest masonem, a w każdym razie jest powolnem narzędziem w rękach masonerji, a nawet bezpośrednio lóż żydowskich.

Polska jest więc odrutowana, niczem Ejruwem, różnemi tajnemi, organizacjami masońskiemi i wszelkiemi pół jawnemi i jawnemi stowarzyszeniami, kierowanemi przez wolnomularstwo. Jest to państwo w państwie.

Jakieś osiem lat temu Mussolini powiedział:

„Jest to straszne, potworne, aby urzędnicy, a nawet wysocy dostojnicy uczęszczali do lóż, a co więcej, żeby informowali loże, co się dzieje w rządzie i brali od lóż rozkazy. Instytucje państwowe, które wymierzają sprawiedliwość i wychowują nowe pokolenia i które reprezentują siły zbrojne, jakie w każdej chwili mają być gotowe do obrony Ojczyzny, uległy wpływowi masonerji. To jest niedopuszczalne, to się musi skończyć". Tak mówił Mussolini i rozpoczął walkę z masonerją.

SĘP

ECHA MEDYCKIE

LEKTURA „KRÓLA DUCHA"

(Dokończenie)

ALE PÓJDŹMY dalej. O ile inne: uczuciowe znaczenie słowa, bardziej jeszcze prowadzi twórcę tajemniczą drogą twórczości, o tyle też sprzęga ono go z czytelnikiem na tej drodze, budząc jego współtwórczy, choć niejako bierny, potencjalny rezonans Co to jest? Właściwość ta słowa zależy od najrozmaitszych okoliczności, od dźwięku, etymologji słowa, podobieństwa jego do innych symbolów, pierwiastka onomatopeicznego etc., od masy wreszcie niezbadanych dotąd asocjacyj podświadomych, korespondencyj rytmów fizjologicznych itd.

Tajemnicą tej uczuciowej wartości słowa jest mimowolne poddawanie czytelnikowi rozlicznych właściwości rzeczy wypowiedzianego miana. W tem leży klucz do wywarcia tak zwanej *„audition colorée i figurée"*, która nie jest niczem innem, jakby chciał Guyau, tylko prostym związkiem uczuciowym barw i dźwięków ze słowami. W ten sposób można dać wrażenie barwy, wielkości, głębokości, ciemności, lekkości, ruchomości itp. U Słowackiego mord jest „brunatny", bo ten przymiotnik wywołuje coś jak łacińskie *„horridus"*, wstręt i okrucieństwo, na Popielu topniał „drut i cyna", a nie np. „żelazo i miedź", bo „drut i cyna" wywołuje zupełnie inne uczuciowe wrażenie niż „żelazo i miedź".

Najsilniejszym pierwiastkiem działającym na uczuciowe znaczenie słowa jest bezsprzecznie dźwięk, który może sam przez się wywołać wrażenie wzrokowe. Zdaje mi się że *„celer"* nie mogłoby znaczyć ani ociężałości, ani ciemności, toż w wyrazie *„celestis"* widać również pewnego rodzaju drganie, ruch (może rozdrganych przez odległość cząstek powietrznych). Cudny dając wyraz mrowiu ruchliwemu, w znaczeniu „sławny". Widocznie dźwięk *„cele"* (z krótkiemi *e*) wywołuje wrażenie ruchu. Może tylko dla Polaków, może tylko dla znających języki romańskie, może dla wszystkich, a może tylko dla jednostek... to wszystko zależy od wypadkowej skomplikowanych pierwiastków jakie tu działają, czy są to jakieś powszechne rytmy fizjologiczne, czy asocjacje w pierwiastkach językowych, czy onomatopeje ogólne, czy przypadkowe okoliczności jednostek. Im bardziej to ostatnie, tem mniej naturalnie dany szczegół posiadałby walorów literackich.

Czy jednak nie czuje każdy, kto się w taki rytm wsłucha, lotu Matki Boskiej, jak chmura lecącej nad lasami i to zaraz w początkowym dwuwierszu:

„Słońce lecące trzymała nad czołem
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła.
Szła nad lasami i leciała dołem
Nad chaty jako kometiana miotła...
Tęcze ją ciągłem oskrzydlały kołem...
....."

A trudnoby to tu przypisać jakiejś wyraźnej onomatopei.

*

A teraz dźwięk. To wszystko odnosiło się do tego, co działa na naszą wyobraźnię. Przejdźmy do elementów działających już nie na nasze oczy, ale na serce przez słuch. Na dźwiękową wartość liter wpływa: Barwa dźwięku, wysokość tonu i iloczas głoski, w językach nowoczesnych utożsamiony z akcentem. Na słowa składają się litery. Na ich znaczenie dźwiękowe wpływa: ilość zgłosek—akcenta główne i poboczne,—stosunek i rozmieszczenie odpowiednich dźwiękowo liter. Słowa tworzą zdania, na którego znowu znaczenie dźwiękowe składa się tych słów (zależnie od ich dźwięków, akcentów etc.) odpowiednie rozmieszczenie, przycisk zdaniowy, cezury. Mniej lub więcej do treści odpowiedni układ takiego zdania, stanowi mniej lub więcej doskonałą rytmikę.

Mamy czytać najwspanialszy poemat napisany w języku polskim. Poemat, którego nie możemy pokazać i podzielić się nim z tymi, którzy po polsku nie umieją i to nie umieją dobrze. Jeżeli wogóle mało rzeczy pisanych mową wiązaną da się tłumaczyć, to tu nawet nie można marzyć o napisaniu jakiejś parafrazy czy analogji, którąby dawała wyobrażenie o walorach dźwiękowych poematu w stosunku do tekstu. A powiadają, i to szczególnie Niemcy, że język polski ma mało walorów rytmicznych.

Na akcent składają się: iloczas głoski, wysokość tonu, siła natężenia głosu etc., najważniejszym atoli pierwiastkiem, który już Wundt zidentyfikował doświadczalnie z akcentem, jest iloczas głoski, — reszta to są tylko środki pomocnicze. W języku polskim gramatycznie długich i krótkich niema, względnie wydłuża je akcent, kładziony stale na przedostatniej, co jest czystą potrzebą fizjologiczną akcentowania. Wobec tego należałoby sądzić, że w wierszu polskim trudniej uniknąć siekaniny, że zatem język polski mniej się nadaje do wiersza, niż np. niemiecki, który przeciwnie, posiada gramatyczny iloczas głoski. Już Mleczko („Serce a hexametr") neutralizuje akcent polski w zupełności. Przypatrzmy się jednak, czy nie ma samogłoska polska przypadkowej zmiany iloczasu, a zatem takiej samej zmiany siły akcentowej? Weźmy wyrazy: „kotka", „patyk", „baca" i postawmy je obok takich wyrazów: „być może", „morze", „umarły", „walić" itd. Przekonamy się, że drugi szereg wyrazów robi wrażenie iloczasowo dłuższych samogłosek niż pierwszych. Wynika to ztąd, że z samogłoską sąsiadują spółgłoski płynne, mające swój odrębny iloczas, który się zlewa z iloczasem samogłoski, a przez to wydłuża jej akcent („pozycja samogłoski" u Mleczki).

Jeżeli teraz zestawimy kilka rytmów polskich li-tylko obserwowanych pod względem rozmieszczenia akcentów,—to zobaczymy, że jakkolwiek ma się rzecz z ich jednostajnem rozmieszczeniem sylabicznem, nie są one jednakowo rozmieszczone w wierszu, bo nie każde słowo ma równą ilość zgłosek, a zatem odstępy międzyakcentowe są zależne od ilości zgłosek, krótsze lub dłuższe. Prócz tego ma język polski jeszcze słowa jednozgłoskowe i enklityczne, które odległości te przerywają lub wydłużają. Mówimy, „ten który idzie", „Niebo zczerniało, ale świeciło się grzmotami", nie akcentując słów „który" i „ale". Odległości takie ilościowe powodują zmianę tempa rytmicznego: zmiana odbywa się jedynie pod względem formalnym, bo międzyakcentowe samogłoski wymawiamy prędzej, by do akcentu zdążyć. Np. jak szybko wymawiamy to długie słowo w zdaniu następującem: „to jest całkiem nieprawdopodobna historja". Ta zmiana tempa, wyzyskana odpowiednio, działa na uczucie. Pod względem myślowym tempo nie ulega zmianie, bo jeden akcent prawie zawsze odpowiada jednemu słowu—pojęciu. Daleko posunięte badania nasze nad rytmiką w czasach ostatnich za mało zwracają uwagi na pewne rozwidlenie rytmiki starożytnej w kierunku nietylko równej ilości zgłosek wierszy, ale poprzez fazy przejściowe średniowiecznego wiersza angielskiego dawania przewagi równości akcentów bez względu na budowę całej stopy—dopieroż zmiany w tym systemie i uczuciowe uzasadnienie odchyleń! Wczorajsza i dzisiejsza rytmika daje w tej mierze olbrzymie pole do badań. Kusiłoby mnie przejść empirycznie te sprawy np. z prof. Szumanem.

Zebrawszy to wszystko, możemy powiedzieć: akcent słowny działa na rytmikę w języku polskim: 1) zależnie od swojej siły, zyskanej pozorną długością samogłoski przez sąsiedztwo—i uczuciowem znaczeniem wyrazu, 2) przez odpowiednie rozmieszczenie wyrazów wielozgłoskowych i powodowanie tem odległości międzyakcentowych.

Rytm poezji może być dwojakiego charakteru: a) muzyczny, b) ekspresyjny. Jeżeli rytm związku żadnego z treścią nie ma, a stanowi jedynie element muzyczny sam dla siebie, to taki rytm nazwiemy muzycznym. „Słowiczku mój, a leć, a piej..." Taki rytm jest właściwością pieśni Pola czy Zaleskiego. Rytmika ekspresyjna powstaje na gruzach takiego rytmu muzycznego przez jego całkowite opanowanie, przez coraz wyższe formy treści. Nie należy przytem ujętej w ścisłe kanony metryce klasycznej, ale posiadającej różne jeszcze środki techniczne w tych ramach, odmawiać zdolności do indywidualnej ekspresji. Słowacki, opanowawszy nic nie mówiącą metrykę Lambra i Mnicha, tak, że tok myśli nie mógł ulegać opóźnieniu przez zatrzymywanie się nad kwestją formy, puścił się po niej falą myśli i uczuć, uwalniając z wszelkich więzów... „ton". Inspiracja twórcza w zakresie technicznym najpierw poddaje ton. Ten ton jest to pierwiastek wywołany uczuciem, który powoduje takie a nie inne ugrupowanie wyrazów, jest to niby westchnienie tem uczuciem powodowane. Są słowa, które

„Gdy przyjdą na tron wieszczowi w rozpaczy
To w długą rymu kładną się kolumnę".

A więc słowa przychodzą „na ton" i kładą się w kolumnę rymu. Ton, to ekspiracja artykułowana słowami. Poczyna się wiersz już nie jak dotąd przez układanie słów na obmyślanej z góry konstrukcji, — wiersz swobodny, który już „taktem jest, a nie wędzidłem", zdolny do wyrażania wszystkich uczuć, przez akceptowanie właściwości dźwiękowych. Najważniejsze z nich są: a) onomatopeja naturalna i b) psychiczna.

Charakterystyczny przykład onomatopei naturalnej mamy w następującej strofie:

„Na zamkach ciągły zgiełk i śmiech i czar czach
I stuk ław, i brzęk dień, i szabel zgrzyty,
I gon psów, w lasach i łomot na karczach
Zwierza..."

Druga strofa I-go rapsodu stanowi całą symfonię onomatopei grzmotów, uwydatnianą nadto i uczuciowemi znaczeniami słów (np. „okolicy“ i „szatańskiej“ podkreślających błyskanie za górami):

„Ja, Her Armeńczyk leżałem na stosie
Trupem, przy niebios jasnej błyskawicy.
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy,
Niebo zczerniało, ale świeciło się
Grzmotami jak wid szatańskiej stolicy,
A ja świecący od ciągłego grzmota
Leżałem, zbroja była na mnie złota“.

(Nb: Kleiner uważał, gdyśmy o tem raz mówili, że Słowacki akcentował w słowach „świeciło się“ literę „O“ tak jakby to było jedno słowo, z czem się nie zgadzam i które to zresztą odchylenie przy tem prawidłowem wymawianiu, od rytmiki, nawet z kopnięciem rymu, którego w tem tempie się nie słyszy, jest najzupełniej celowe. To że takie zbagatelizowanie rymu jest u S. bez precedensu, to niczego nie dowodzi, włączanie „się“ w poprzednie słowo jest też bez precedensu. Zatarcie rymu przez uprzedzenie akcentem wyraża tu właśnie dla mnie niespokojny rytm natury ponaglający niby w synkopach tempo normalnej myśli, biorący nad nią górę, głuszący jakby porządek norm ludzkich własną normą).

Na pograniczu między onomatopeją psychiczną a naturalną stoi przystosowanie rytmu mowy do widzianego lub słyszanego innego taktu, którego się nie wymienia.

„I wydarto go z ziemi popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej, —
Gdzie sam leżał, — nie ze sławy aniołem,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu rozbity!“

Czy w tym wierszu napisanym na sprowadzenie prochów Napoleona nie słyszycie wyraźnie dziwnego kołysania? To przecie kołysanie trumny na ramionach. (Policzcie zgłoski. To jest także bez precedensu. Cała rzecz w tem aby była racja jakaś do wyjścia z toru i wtedy tylko nabiera ono znaczenia i wyrazu).

Jako onomatopeję psychiczną określić można takt przystosowany pozatem po pierwsze do wydawania dźwięków odruchowych, lub modulowania głosu pod wpływem danego wrażenia np. mord jest „brunatny“, bo brrr jest wykrzyknikiem wstrętu, powtóre do tego jaki dany dźwięk wywołuje skurcz mięśni podobny do skurczu wywołanego przez jakieś uczucie, bo nietylko uczucie powoduje wyraz, ale i odwrotnie przez asocjację wyraz naprowadza uczucie, a przynajmniej jego refleksy. Taką onomatopeję psychiczną uzyskać można a) przez odpowiednie ugrupowanie poszczególnych onomatopei psychicznych słownych, b) przez odpowiednie do zmiany afektu uwydatnienie cezur, którym odpowiada oddech, podziw, wzburzenie, strach... c) przez odpowiednie modulowanie tempa zapomocą zmiany międzyakcentowych ilości zgłosek i pozorną zmianę ich iloczasu. Już Homer rozumiał ten środek poetycki (modlitwa Chryzesa, pożegnanie Hektora z Andromaką i niespodziane roześmianie się jego do dziecka etc.). Słowackiego bezpośredniość twórcza sprawia, że Król-Duch od początku do końca jest obok cudownej muzyki wiersza refleksem każdego drgnienia jego serca, każdego wzruszenia, podobnie jak najprostsze opowiadanie, które pierwszy raz, nie napisane, ale mówione przez żywego świadka dochodzi do słuchacza. Przeczytajcie takie ostatnie strofy Bolesława Śmiałego... wskrzeszenie Piotrowina, gniew który miota królem i jeżąca włosy, wstrzymująca oddech w pustym kościele wstająca groza cudu.

*

W powyższych luźnych skrótach staraliśmy się dać wyobrażenie całokształtu z jakimby się warto zaznajomić, nie zagłębiając się nawet w szczegółowe studya nad rytmiką, jeżeli ktoś bardziej z bliska chce ujrzeć potęgę budowy poematu.

Jaka jest idea przewodnia myśli genezyjskiej Słowackiego? Dziś już każdy to wie... a gdyby nie wiedział, przypominamy ją w paru zdaniach. — Duch jest współtwórcą własnego kształtu, nie ujmując nic wszechmocy Stwórcy. Wytęsknia sobie i wyprasza u Boga przyszłą swoją formę, ofiarując się na śmierć i oddając w tej śmierci na ofiarę coś ze swych dotychczasowych wygód za wyższe formy bytowania. Człowiek jest najwyższą formą stworzenia na ziemi, ponad nią idzie ewolucya w świecie duchowym. Podstawą zatem tej idei jest metempsychoza. Powrót dusz w nowe wcielenia tworzy tem silniejszą spójnię i historyczną ciągłość narodu. Na czele gromad duchów, na czele narodów stoją Królе Duchy. Po dwóch: pan myśli i miecza-i ci wiodą swój naród w przyszłość.

Z tej idei rodzi się poczucie odpowiedzialności za sprawę publiczną — i to nie było nigdy dostatecznie podkreślone. Poczucie to wyraziło się niejako w formie idei monarchicznej, która — jeśli gdzie — to tutaj ma swoje najwyższe piękno i walor. Jestto, rzecz prosta, znowu tylko forma wyrażenia, i nie rzecz w idei monarchicznej, tylko w tem, co się w niej wypowiedziało, jakie uczucia, jaka dusza wyjrzała oczyma Króla-Ducha.

Przeklęty żywot Popiela potrzebny był nietylko dlatego, że wyraża czasy zamierzchłego barbarzyństwa i tak je mistycznie wyjaśnił, nietylko dlatego że był potrzebny jako kontrast... ale dlatego, bo w całokształcie wszystkich władz duchowych i namiętności wielkiej miary ducha przeprowadzić trzeba było linję ewolucyjną pod wpływem słońca wielkiej idei narodowej. Dopiero po pierwszym rapsodzie wychodzi cała głębia drugiego rapsodu, w którym duch Popiela błogosławi Piastowi i Polsce, choćby już nigdy w niej nie zaświeciło jego „mgliste ale piękne czoło“. A wtedy na niego Pan spojrzał litośnie,

„Bo to uczułem, czego niema dusza,
Że mi ojczyzna cała w duchu rośnie,
I rosnąć ducha mojego przymusza“...

Cały rapsod czwarty jest jednym wyrazem troski Mieczysława o los narodu:

„Pan rzekł: obaczę jeszcze tego króla,
Obaczę jeszcze, gdy mieczem zwycięże,
Gdzie on sieroty swoje poprzytula,
. . . .
Próbę na serce królewskie przypuszczę,
Jeżeli zgrzeszy sercem, to odpuszczę“.

Sunt lacrimae rerum, nieprawdaż? Pełen świadomości swego genezyjskiego posłannictwa mówi Mieczysław:

„A cóż, gdy całym narodem
Zacznie my ducha ku Bogu podnosić,
Co wiek podwyższać twory jednym wschodem,
Jako anioły winy ludzkie nosić...

„...A tę ofiarę chcę mieć postokrotną,
Nietylko za się, ale i za ludzi,
Abym tę otchłań niebios nie samotną
Miał, ale z braćmi, których Bóg obudzi...“

A oto wizja Bolesława Śmiałego:

„Żelazna cała i cała ceglana
Była już Polska — a każda obraza
Która w niej ducha jednego pobrudzi,
Zaraz rozlana, szła na wszystkich ludzi.

I straszna jakaś ta czystość związkowa
Rosła — i wszystko trzymała jak w snopie,
Tak że ja, straszna wtenczas ludu głowa
Mogłem być nawet obrażony w chłopie!
A ze mnie też szła dusza narodowa
I w dziada mego stawała okopie,
A ten szeroki duch miał wtenczas skrzynie
Na Elbie, Sali i Dnieprze i Dźwinie“.

Wielkość króla jako przewodnika narodu jest pochodna od wielkości narodu... Tak pojęta idea monarchiczna mogła się urodzić tylko w Polsce Piastów, Jagiellonów i Batorego, gdzie interesy jednostek i dynastyj szły w kąt przed interesami narodu, i dlatego tylko Polak może ją naprawdę zrozumieć. Symbolem i sumą najwyższych odpowiedzialności za sprawę był król. Dziś ma ten cudowny poemat szczególne znaczenie wychowawcze. Wcielenia Króla-Ducha powinny nas wszystkich zarazić poczuciem odpowiedzialności za sprawę publiczną... tembardziej dzisiaj, kiedy po całym świecie zmaga się poczucie solidarności z narodem z ideą azjatycką, która próbuje budować wielkości na poniżaniu narodu.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

PODRÓŻ PO INDJACH

INDJE... Do tego olbrzymiego kraju wyprawił się nagle pisarz polski na krótki czas stu dni, aby po powrocie opowiedzieć rodakom o swych wrażeniach. I oto je mamy. Duża książka, wydana nakładem Gebethnera i Wolffa, z 57 ilustracjami, wykonanemi z fotografij. Sprawozdanie z wielce zajmującej podróży. Cóż w niem znajdujemy? Czemże wzbogaciła ta książka ubogą naszą literaturę podróżniczą?

Goetel podróżował po Indjach jako wysłannik polskiego PEN-klubu, zasilony dostatecznie pieniądzem, a więc w warunkach komfortu, odpowiadających potrzebom europejskiego turysty. Otaczał go obcy, brunatny świat hinduskiego społeczeństwa, z którym mimo wszystko łatwiej mu było nawiązywać jakiś kontakt porozumiewawczy, niż z nieprzystępnymi Anglikami, z wyjątkiem tych, do których miał listy polecające. Samotny w 330-miljonowem społeczeństwie zdany był prawie przez całe sto dni na towarzystwo służącego „boya”, które sam sobie narzucił, bo bez „boya” w Indjach ani rusz. I tak, wertując przewodniki Baedeckera i Murraya, zwiedził ogromny (mierząc długością linij kolejowych) szmat Indyj: wylądowawszy najpierw na zachodzie, w Bombaju, przejechał się na północ, aż do podnóża Himalajów, odwiedził wielkie miasta wybrzeża wschodniego: Kalkuttę i Madras, a później temiż samemi wagonami pierwszej klasy kolei indyjskich, gdzie zazwyczaj był jedynym pasażerem w przedziale, dotarł aż na dalekie południe półwyspu. Nic dziwnego, że spieka, nielitościwe słońce, kurz i gorące wiatry dotkliwie dały się we znaki podróżnikowi, kosztującemu (po raz drugi zresztą) indyjskiego, podrównikowego klimatu. Zmęczenie potęgowało się wskutek lawirowania po „zaklętem kole turystyki, po którem od stacji do stacji, od hotelu do hotelu, od zabytku do zabytku kręciliśmy się: ja, moje kufry i mój „boy”, w nieustannym strachu, że któreś z nas zaginie”. Tak nakoniec przybył do ostatniego etapu podróży, miasta Madury na południu. „Dwa dni, pozostające mi jeszcze na Madurę, było to aż nadto na zasób sił i resztki trzeźwości, jaką jeszcze rozporządzałem”.

Z miłą skromnością i bez blagi opowiada nam Goetel o swoim losie turysty, tłukącego się przez sto dni po legendarnych Indjach. Być może, że wędrówkę uprzykrzała mu jeszcze myśl, że o podróży swojej będzie musiał napisać puktualnie książkę. O tem nie mówi; ale w tem właśnie jest główna wartość książki, że pokazuje nam zakłopotanie i zmęczenie, czasem także zaciekawienie, rzadziej zachwyt przybysza z Warszawy, rozciągniętego na poduszkach wagonu pierwszej klasy, odświeżającego na miejscu wspomnienia lektury „Księgi Dżungli” i „Kima”, nudzącego się w egzotycznych pałacach i świątyniach, zgubionego w tem mrowiu ludzkiem i po raz pierwszy uświadamiającego sobie głębiej swoją europejską odrębność.

Oglądany kraj był dlań podwójnie niezrozumiały. Środowisko angielskie raziło go obcością obyczajów. Sprawdził to, jadąc statkiem z Kalkuty do Madrasu. „Tu — jeśli przy śniadaniu nie zamówisz *porridge*'u, *haddocka* lub *eggs and bacon* — jeśli na pytanie „*How ave you*?” nie odpowiesz „*well*” z odpowiednim bulgotem pomiędzy językiem a podniebieniem, jeżeli nie zapalisz *Gold Flacke*'a, nie rozłożysz się na leżaku pokładowym, nie okażesz dostojnej powagi, czyniąc rzeczy błahe, nie zachowasz milczenia w obliczu spraw ważniejszych i nie okażesz entuzjazmu w rzeczach nieobowiązujących — wywołasz podejrzliwość i zupełny brak zainteresowania swoją osobą”. Takie robił na Goetlu wrażenie nieznajomy świat angielski. Tubylcy byli przystępniejsi, ale ma się rozumieć, o wiele więcej zagadkowi. W ich ruchu wyzwoleńczym nie mógł się dopatrzyć żadnego podobieństwa do polskich walk o niepodległość. Jako widz uczestniczył w paru zebraniach, na jednem z nich widział samego Mahatmę Gandhiego, który zadziwił go swoją... muskularną budową. Podróżnik nasz nie był zbudowany tem, co widział, i nie odniósł wrażenia, że ruch nacjonalistyczny jest istotnie potężną siłą w Indjach. Najbardziej zainponowały mu zrozumiałe na pierwszy rzut oka zdobycze techniki europejskiej: koleje, mosty, nowe dzielnice miast-twórcze dzieła inżynierów angielskich. Nie tłumaczyło się to, co mówiło mową ludzką i myślało własnemi tajemniczemi myślami — trudnem do przeniknięcia.

Jeżeli książkę Goetla traktować będziemy, jako podręcznik wiedzy o Indjach — nie dowiemy się wiele o tym zaklętym świecie. Jeżeli natomiast szukać w niej będziemy nie pouczeń, lecz tylko wrażeń przybysza z nad Wisły, co nagle, nieprzygotowany, jak na dywanie czarnoksięskim, przeniósł się nad Ganges — to wdzięczni pewno będziemy autorowi za te zapiski, nieraz nawet ujmujące wyrazem.

JAN RUDIS

NA WIDOWNI

Sztandarowa uroczystość młodzieży szkolnej. — Akademicy sanacyjni. — Klasyfikacja obozów: my i reszta. — Gdzie Pomorze? — Zjazd młodzieży katolickiej i wybory do Sejmiku. — Ślubowanie Przedniej Straży.

DALSZYM ciągiem święta morskiego, które się zaczęło w końcu czerwca, była wspaniała uroczystość wianków w Gdyni w obecności Prezydenta Rzpltej. Wzięła w niej udział cała flota wojenna i handlowa. „Zapłonęły — jak donosi PAT — wszystkie światła na iluminowanych rzęsiście okrętach i statkach. Trysnęły w niebo srebrne smugi olbrzymich reflektorów, niby kolumnada w niebotycznej wysokości“...

Uroczystości przyświecała też myśl o przyszłości społeczeństwa, pod którą kładzie podwaliny wychowanie państwowe. Oto do Gdyni na ten czas — jak czytamy w komunikacie —

„przybył z Warszawy p. premjer Jędrzejewicz celem wzięcia udziału w uroczystościach organizacji założonej z pośród uczniów szkół średnich p. n. „Straży przedniej“. Poświęcenia sztandaru organizacji dokonał J. E. ks. biskup Okoniewski. Podczas uroczystości do molo Wilsona przybił statek „Gdynia“, wiozący p. Prezydenta Rzplitej Mościckiego, orkiestra marynarki wojennej odegrała hymn narodowy. Pan Prezydent pozostał na pokładzie statku, skąd przypatrywał się uroczystości. Podczas wręczania sztandaru, przemówił p. premjer Jędrzejewicz, poczem kandydaci na członków „Straży przedniej“ złożyli ślubowanie, zakończone okrzykiem na cześć marsz. Piłsudskiego, orkiestra odegrała „Pierwszą brygadę“. Po zakończeniu uroczystości na molo Wilsona na ul. 10 Lutego grupy „Straży przedniej“, „Legjonu młodych“, Harcerzy i Strzelców przedefilowały przed pp.. premjerem Jędrzejewiczem, prezesem B.B. Sławkiem i przedstawicielami władz“. (Kur. Warsz.)

Starsze pokolenie przedwojenne, czytając te opisy, napróżno zbiera w pamięci wszystkie swoje doświadczenia z lat młodzieńczych, aby znaleźć miarę na to *novum*, którego dożyło. Młodzież narodowa, za starszem pokoleniem ideowo zżyta, miałaby może powód do zawiści, jako ta, której nie grają fanfary, ale fakty wskazują, że jest inaczej. Młodzież narodowa dzieli za starszem pokoleniem wszystkich zresztą obozów ten pogląd, że wychowanie musi być uzdrowieniem, czy je nazwiemy po polsku, czy też z łacińska „sanacją“, a nie jest zabiegiem zdrowotnym przeciwstawianie państwa i rządu narodowi. Naród bowiem jest pojęciem szerszem i młodzież wychowana okazyjnie, konjunkturalnie według gustu czasowego *regime*'u, może nie odpowiadać potem kwalifikacjom moralnym, jakich wymaga od ludzi oświeconych życie historyczne narodu.

Wiele było dawniej skrupułów, czy można młodzież szkół średnich wprzęgać do polityki; chroniło się nawet młodzież akademicką od zbytniego politykowania. Myśl wychowawcza dbała o to, aby młodzież była uświadomiona narodowo i świadomość tę umiała szerzyć w społeczeństwie bądź w drodze krzewienia oświaty, bądź przykładem dzielności charakterów. Patrzymy teraz na rzeczy nowe, ciągle myśląc o tem, czy reformatorom starczy za nie odpowiedzialności moralnej.

Tego lata odbył się w Poznaniu zjazd Rady naczelnej młodzieży „mocarstwowej“.

Ze sprawozdań w sanacyjnym „Buncie Młodych“ widzimy, że organizacja prorządowa młodzieży przechodzi już ciężkie przesilenie z powodu szerzącego się wśród niej bolszewizmu. Do tego prowadzi brak uświadomienia narodowego, które według tego systemu, wydaje się czemś zdrożnem. Młodzież, żeby się odciąć, jak to ma nakazane, od obozu narodowego, wpada w bolszewizm. Wybrany na tym zjeździe na prezesa p. Mieczysław Pruszyński w mowie programowej stwierdził „zjawisko ogólnego obniżenia się poziomu intelektualnego na terenie Wyższych Uczelni. Zachodzi ten paradoks, że staje się tu coraz częstszym typ półinteligenta“. A dalej p. prezes mówił o moralności (Przytaczamy z nr. 2 „Akademika“ z dn. 4 czerwca r. b.):

„Z drugiej strony obserwujemy silny upadek charakteru członków organizacyj ideowych, stworzonych przez dzisiejszy *régime*. Dlaczego? Bo przeraża objektywnego obserwatora fakt, że znajduje się w ich szeregach 50 procent zwykłych oportunistów.

Gdy zastanowimy się, że jednak w najszerszem tego słowa znaczeniu wchodzimy w skład obozu Marszałka Piłsudskiego, dopiero wtedy zdamy sobie sprawę, jaka na nas ciąży odpowiedzialność. Na nas bowiem spada wobec tego ogromna odpowiedzialność wychowania ludzi, którzy będą musieli wziąć na swoje barki odpowiedzialność za przyszłe losy naszego państwa“.

Ze słów tych widać, że są te zgrupowania prorządowe stowarzyszeniami „z odpowiedzialnością ograniczoną“. Mają to wdrożone w umysły, że w przyszłości młodzieńcy z tych zrzeszeń będą jako urzędnicy dźwigać ciężar służby państwowaj. Choćby nawet z tego ograniczonego stanowiska biurokracji przyszłość wygląda niedobrze. Bo cóż państwo pocznie w oparciu o półinteligentów i opurtunistów. A tych „oportunistów“ (nie wypadało tego prezesowi powiedzieć) jest nie 50, lecz 95 procent.

Wogóle do niczego nie dojdziemy, klasyfikując siły społeczeństwa na narodowe i państwowe. Jest to prymityw myślowy tem groźniejszy, że zastosowany został tylko z pozorami naiwności. Prymityw półinteligencki, nie wytrzymujący kryterjów ani socjologicznego, ani politycznego, ani historycznego, ani zdrowego rozsądku.

Niewymowną przykrość intelektualną, nawet estetyczną, nie mówiąc już o moralnej, robi widok tego prymitywu w zastosowaniu publicystycznem. W tych dniach czytałem w organie polityki rządowej „Gazecie Polskiej“ na pierwszej stronie artykulik, którego jedyną treścią była chęć drażnienia opozycji szyderstwem.

— No i co nam zrobicie? Narzekajcie sobie, jak stare panny. Wy tylko to potraficie, nic więcej. A my będziemy robić swoje.

Półinteligent, który to pisał z myślą o swojej grupie, jest przekonany, że w ten sposób nadaje obliczu sanacji wyraz myślący a zarazem radosny. A to była bezmyślność, ustępująca złośliwości miejsce, należne myśleniu. Taki publicysta nie zdaje sobie sprawy, że opozycja to nie tylko ci dziennikarze, którzy manifestują swój protest białemi w dzienniku plamami. Tego, co się dzieje w łonie społeczeństwa, nie jest już w stanie zrozumieć. I to kiedy? W lecie 1933! Czy nie czytuje komunikatów PAT'a z prowincji?

Jak wygląda życie przy tej klasyfikacji świata, przytoczę przykład Pomorza. Dziecku tego nie trzeba tłumaczyć, że najsilniejszą twierdzą tego brzegu państwa, jest silny duch narodu, przedewszystkiem patrjotyzm ludności pomorskiej. Więc jak? Jeżeli ta ludność nie podziela poglądów sanacji, to ma być uznana za wrogą państwu, a więc i Pomorzu? Postawa nacjonalistyczna ludności jest

najlepszą rękojmią obronności kraju, tymczasem ta postawa właśnie ściąga represje.

I oto powstaje z tego powodu osobliwy wir sprzeczności, zupełnie niepotrzebny i nie dodający Polsce powagi wobec bawiących się tem Niemców. Przed paru tygodniami w Kościerzynie odbył się imponujący liczebnością i nastrojem zjazd katolickich stowarzyszeń Młodzieży Polskiej dzielnicy pomorskiej. Pomorze wielką do tej akcji katolickiej przywiązuje wagę i niemiłe robiło wrażenie, że nikt z władz tego wielkiego ludowego zjazdu nie witał. Wojewoda Kirkitlis nadesłał depeszę, która jednak wrażenia nie poprawiła, wyraził się w niej bowiem w ten sposób:

„Praca wasza potrzebna nie tylko tej szczytnej idei, której służycie, ale również i państwu — o ile pracować będziecie dla podniesienia potęgi Państwa w zgodzie i harmonji z innemi propaństwowemi i prorządowemi organizacjami".

Jednem słowem cała ta wielka praca Pomorza będzie niepotrzebna, o ile stowarzyszenia katolickie nie połączą się z organizacjami „prorządowemi". Dzienniki pomorskie zapytują z tego powodu: „czy p. wojewoda sądzi, że stowarzyszenia katolickie mogą stanąć w jednym szeregu z Legjonem Młodych, który wyraźnie wypowiedział walkę kościołowi, albo łączyć się z prorządowymi marjawitami, badaczami Pisma Św. i innymi sekciarzami"? („Słowo Pom.", 159).

Trzeba trafu, że właśnie w dniu tego zjazdu odbywały się w powiecie Kośaierzyńskim wybory do sejmiku powiatowego. Oczywiście władze bardzo się wyborami interesowały i cały wpływ swój na szalę rzuciły. I cóż się okazało? Lista narodowa zyskała 13 mandatów, NPR (opozycja) mandatów 9, obóz prorządowy mandatów 5, Niemcy — 2. P. wojewoda, gdyby przewidział możliwość takiego wyniku, pewno dałby inną trochę treść swej depeszy. Ale jak to wygląda? Czy można oficjalnie stawiać kwestję tak, aby Niemcy słyszeli, że ludność Pomorza nie chce pracować dla dobra Państwa?

Ludność Pomorza i wogóle Polski ma historję starszą od sanacji; jej patrjotyzm jest siłą twórczą i obronną Państwa; ona długo na odrodzenie Państwa czekała i umiała dla idei Polski ponosić ofiary. To jest siła, co do której nikt niema nic do kwestjonowania — bo to jest siła realna Państwa, nie dająca się warunkować: „o ile".. Naród robi swoje, co leży w zakresie jego uczuć i myśli, a historycznie to będzie uznane za opozycję, co naturalnej twórczości przeczy. Trzeba się pogodzić z tem, że sztuka, pomyślana przez sanację, aby zamiast Polski (jako narodu i państwa) podsunąć termin Państwo i dalej snuć równania z sanacją tak, aby można było interesy grupy uznać za jednoznaczne z dobrem Polski, że ta sztuka się nie udała i wszystko, co się dalej przy tej sztuce upiera, jest niepotrzebnym zgrzytem, coraz mniej zabawnym.

W „Gazecie Polskiej" np. czytamy rotę ślubowania młodzieży, wstępującej do Przedniej Straży, wygłoszoną w Gdyni przy szumie morza, a zaczynającą się od słów:

„W imię prawa naczelnego dobra, honoru, potęgi państwa Polski uznaję, iż praca jest źródłem wszelkich wartości" i t. d.

Niema w całej rocie wzmianki o Bogu i Ojczyźnie, jak dotąd w ślubowaniu młodzieży polskiej bywało. Były to czasy dzisiaj wyśmiewane — bogoojczyźnianc,.. Ale przedewszystkiem ten nieskończony szereg drugich przypadków jakże dziwnie mętną treść wyraża! Z mętnego płynie serca frazes, który nie może wykrztusić słowa: „Polska" i szuka cudacznego omówienia: „państwo Polski". Pierwszy raz, odkąd istnieje Polska i jej piśmiennictwo, spotykamy taką dziwną nomenklaturę swej ojczyzny. Jak to ładnie brzmi: państwo Francji, albo Niemiec! Pewno tak uzgodniono w drodze kompromisu, aby nie było „państwa polskiego". Byłoby to uznaniem państwa narodowego. Narody są w Polsce różne, firmę tylko daje Polska.

Jeżeli rotę układała sama młodzież, to wypracowanie źle świadczy o szkole. Bo np. co znaczy: „w imię prawa naczelnego dobra?" Albo taka filozofja gloryfikująca pracę: „praca jest źródłem wszelkich wartości?" Niestety, nie każda praca; są prace, które niszczą wartości i użyteczności. Nie zrozumie tego frazesu, kto nie domyśli się, że to zapożyczona z rytuału masońskiego frazeologja [1]). Uczeń może wyczytał ją w bibjotece ojca...

Wychowanie, żeby było pracą, tworzącą wartości, musi uwzględnić czynnik naprzyrodzony i tak pozornie irracjonalny, jak patrjotyzm; przedewszystkiem jednak musi być dyscypliną sensownego myślenia i uczciwości.

ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[1]) W rytuale czeladnika masonerji francuskiej do dziś dnia mistrz loży wygłasza formułę, tak symbolizującą pracowitość kielni: „O bracia moi, wznieśmy serca, aby pospołu wysławiać pracę, naczelną i najwyższą cnotę masońską. O praco, święty obowiązku człowieka wolnego, siło i pocieszenie serc szlachetnych, ty, która chronisz nas od złych i nędznych namiętności. Ty, która darzysz nas szacunkiem dla nas samych i która czynisz nas lepszymi dla ludzi, ty — która nas bronisz od zepsucia, która nam zapewniasz wolność, która nas uczysz wolności i dzięki której dojrzewają nasze dusze do boskiego braterstwa. Bądź pochwalona! O praco, bądź błogosławiona przez Dzieci Wdowy, i t. d. i t. d. (Leo Taxil „*Les frères trois-points*". Paris, II, 31 — 32).

GŁOSY

GŁOS SUMIENIA. Z listów, które nas dochodzą z prowincji, zamieszczamy jednego z nich fragment, jako znamienny wyraz opinji:

„Dusza polska ma własności krańcowe. Po okresie bezwładu wybucha jak wulkan bez żadnego przejścia. Pierwszem bodaj zadaniem wychowawczem odrodzonej Polski było wychować pokolenie silne na codzień, aby na zmianę nie mdlało a potem nie wybuchało, lecz walczyło trwale z całą świadomością odpowiedzialności historycznej.

O ile pod tym względem życie polityczne Polski z czasów niewoli należy omawiać ostrożnie, patrzeć na nie przez pryzmat niesłychanej przewagi politycznej najeźdźców, o ile przodków i ich patrjotyzm musimy traktować z daleko idącą wyrozumiałością, o tyle dla nas — dzieci Wolności, żadnego tłumaczenia niema. Jesteśmy wolni, niezależni. Mamy własne państwo. Przyszły dziejopis oceni nas tak surowo, jak na to zasługujemy.

W latach powojennych i w pierwszym okresie po odzyskaniu niepodległości dużo w życiu codziennem mówiono o sprawach publicznych; dyskutowano namiętnie, kłócono się nawet. A wszystko w imię dobra Polski. Każdy kochał Polskę inaczej, kochał tak jak umiał. Proces ten był zbawienny. Ludzie kształcili się politycznie, polerowali surowiec swych przekonań. Każdy Polak był obywatelem *de facto.*

Nagle przed siedmiu laty zostaliśmy ogłuszeni. Coś trzasło, coś połamało się w drzazgi. Niemożliwe stało się tragicznym faktem. I staje przed nami pytanie, dlaczego się to wszystko stało? W imię jakiej idei? Co zbudowano? Do czego zmierza się? Upłynęło siedem lat i brak odpowiedzi na te pytania.

Prasa sanacyjna nazywa okres pomajowy „uspokojeniem umysłów“, stwierdza „zanik rozpolitykowania“ i „karną postawę społeczeństwa“. Istotnie, od siedmiu lat, a w ostatnim roku specjalnie w życiu codziennem o sprawach publicznych się nie mówi. Ludzie, skądinąd dobrej woli, są apatyczni, zmęczeni, pogrążyli się w obłęd obojętności dla spraw publicznych. Kryją się ze swem zdaniem czasem w obawie narażania się sanacji prowincjonalnej, która lubi szykanować ludzi myślących, czasem by nie być ośmieszonym w piśmidełkach powiatowych, które ostatnio są przez władze rozmnażane.

Tym właśnie cechom naszego społeczeństwa zawdzięcza swe istnienie dzisiejszy system, który jest dziełem abstrakcji historycznej, faktem bez przyczyny, w najmniejszym stopniu nie opartym na masach.

Żyje się z dnia na dzień, ale w sumieniu nie ma spokoju. Bo co dalej? Co w naszej psychice nastąpi potem na zmianę, gdy konjunktura się zmieni? Straciliśmy czas, przeznaczony na wychowanie pokolenia.

Wszyscy jesteśmy winni. Sprawdźmy nasze sumienie patrjotyczne. Nie poddawajmy się bezwładowi, nie kryjmy się z przekonaniami, wyznawajmy je śmiało, zdecydowanie i nieugięcie. Nie obawiajmy się posądzenia o „partyjnictwo“, bo partją naszą jest Wielka Polska Narodowa. SZ. SZ.

CO SIĘ TYCZY ZEWNĘTRZNYCH, WZROKOWYCH ASPEKTÓW KWESTJI ŻYDOWSKIEJ, to niezadługo już z pewnością jednym z nich będzie „łata żółta“. Reformę tę przygotować należy ze starannością i pietyzmem, na jaki zasługuje. Ma ona za sobą świetną tradycję średniowieczną, gdy była prawem obowiązującem; ma i późniejszą, gdy była dezyderatem, którego realizacji ponownej napróżno domagało się polskie mieszczaństwo. Trudno bez wzruszenia czytać np. „Suplikację do najjaśniejszego i niezwyciężonego Zygmunta III, króla polskiego, etc. etc., od pospolitego człowieka, dla ortów uciśnionego“. Sprawa żółtej łaty była dla mieszczanina wówczas tak samo aktualna, jak jest dzisiaj. Wieki podają sobie tutaj ręce. Główną pobudką do napisania tej mało znanej wierszowanej „suplikacji“ było dla autora fałszowanie przez żydów monety (ortów):

„Prosi pospólstwo wszystko, niech miedziana będzie
Mennica: bowiem srebrną żydzi zgwałcą wszędzie.
Więcej niźli pięćdziesiąt hutnych pieców mają,
Domyślić się potrzeba, co w nich tam rabiają“.

Jako przykład przytaczał autor wysoką jednostkę monety:

„Z której żydzi trzynaście złotych gdy szmelcują,
Grzywnę srebra wysmażą, którą zaś szacują
Za dwadzieścia ośm złotych; tak mają zdobytek,
A toż Królestwo Polskie z żydów ma pożytek“.

Dla żydów potrzebne jest ustawodawstwo specjalne:

(„Dobre prawa łotrowskich żydów naczyniały“)

A więc jak:

„Konia kiedy masztalerz waśniwego czuje.
Poboczą mu wierzgate nogi zahamuje,
Takby i Żydy trzeba munsztukiem zadawić“.

Wylicza autor przykłady takich przepisów specjalnych dla ludności żydowskiej. Np.:

„W Frankfurcie z Ratusza je na noc zamykają,
A zaś rano jak bydło z obory puszczają.
By nie praktykowali o mieszczańskiej zgubie“.

Lecz, dodawał z goryczą autor, mając na myśli faworyzowanie Żydów w Polsce:

„Lecz kruk chowany panu i oczy wydłubie“.

Inaczej w Amsterdamie:

„W Amsterdamie zaś kolcza wyszywane noszą;
Aby znać Żyda, szaty o nich sławę głoszą“.

To dawało asumpt autorowi do głównej jego prośby:

„A u nas prosi cię lud, królu miłościwy,
Niech na wieczną pamiątkę zostaną te dziwy,
Niech od nas różno chodzą
[w biretach żółtawych,
Będziem znać charty gonne od wyżłów ciekawych“.

Jakże niezmiernie aktualnie brzmią te słowa! Upośledzenie żywiołu polskiego w miastach i brak polityki, zdolnej zło naprawić, jak dawniej, tak i teraz pozostaje kapitalnym problematem.

KAWALER *Polonia Restituta*, pisarz żargonowy Szalom Asz w roku 1919 w nowojorskim „*Jewish Times*“ pisał, co następuje:

„Wojska polskie zaraz po wkroczeniu do jakiegokolwiek miasta zdobytego natychmiast wyrzynają młodzież żydowską w oczach jej rodziców... Białorusini i Ukraińcy podpalają swoje wsie i miasteczka i uciekają przed Polakami, jak przed zarazą. Polacy stali się postrachem małych narodów w Rosji, jak dzikie narody średniowiecza... 80 proc. żołnierzy polskich nie umie ani pisać, ani czytać. Większość składa się z rozwydrzonych urwisów. Wielu oficerów pochodzi z dawnej carskiej armji rosyjskiej i ci rozniecają wśród ciemnych mas chłopskich dzikie instynkty w stosunku do żydów. W pojęciu polskich wojsk Polska jest niepodległa, więc można rabować, gwałcić, mordować.. Jest obowiązkiem sprzymierzeńców, którzy naród ten do życia powołali, oświadczyć polskim panom, że niepodległość i wolność mają swoje granice. Naszym delegatom w Paryżu udało się przekonać rządy świata, że naród polski ze swemi pojęciami o wolności i niepodległości nie jest zdolny do ochrony mniejszości narodowch, zostających w jego granicach“. Wywody swoje p. Asz kończy zalecaniem, żeby wraz z oddziałami polskiemi posuwały się oficerskie ekspedycje angielsko-amerykańskie, których „zadaniem byłaby ochrona ludności żydowskiej przed oficerami i żołnierzami polskimi... aby bronić przed huliganami“.

W londyńskiem zaś piśmie żargonowem „*Die Zajt*“ w № 3538 z roku 1923 Kawaler nasz taki umieścił obrazek artystyczny p. t. „Jarmark w Łowiczu“:

„Muszę przyznać fakt, że skorom zobaczył, jak żydzi handlują i obrabiają chłopów, podziw mnie ogarnął. Gdy ujrzałem, że kramy żydowskie przepełnione są chłopami i chłopkami, a kramy polskie, które pootwierały stowarzyszenia dla zwalczania handlu żydowskiego, świecą pustkami, zdumiałem się. Widać, że nic nie pomaga, iż kram polski stoi pod świętą ochroną chrześcijańsko-katolickiej Polski, a ostatnio przybyły inne święte cadyki, jak „Kościuszko i Mickiewicz“, których kupić można w polskim kramie. Nic nie pomagają te wszystkie dobre i pobożne nazwiska wszystkich polskich cadyków. Tańszy chleb i bańka nafty mają większe znaczenie dla chłopa, niż wszystkie pobożne nazwiska. I może klecha nawet kropić sklep polski co rana wodą święconą i może nawet Matka Boska wzywać chłopów do kupowania w polskim sklepie, to jednak chłop tam pójdzie, gdzie dostanie taniej soli i gdzie z nim się po ludzku obejdą“.

JEDNĄ z małych, ale stałych metod, któremi żydzi posługują się w walce z przeciwnikami, są robione „odkrycia“: że dany przeciwnik sam jest żydem — bodaj po pra-prababce. W ostatnich czasach żydzi w Austrji dokonali takiego „odkrycia“ o Hitlerze. Jednocześnie agencje żydowskie roztrąbiły wiadomość, ż znane tak zwane „Protokuły mędrców Syjonu“ zaliczono w Niemczech do propagandowej literatury o żydach, co prasa żydowska uznała za czyn antysemicki.

Milczącą zasadą tej metody w obu wypadkach jest przez samych żydów gruntowane przekonanie, że człowieka i dzieło najbardziej poniża jego pochodzenie żydowskie.

Owe „Protokuły“ są kapitalnem dziełem wielkiego syjonisty — Aszera Ginsberga, wyznaczającem wytyczne obecnie czynnej światowej polityki żydowskiej. Można wobec tego wydanie talmudu uznać także za czyn antysemicki. Wzruszająca jest ta bezwiedna samoocena żydowska! Dochodzi się w niej do poglądu, że najbardziej antysemickim czynem na świecie było zjawienie się na nim żydostwa — zarówno w pierwszem, jak i ostatniem tego dzieła wydaniu.

NAUKA I LITERATURA

KRAKÓW PRZED TRZYDZISTU LATY.

PROCES demokratyzacji najpóźniej bodaj w Polsce odbywał się w Krakowie. Pokryte patyną wieków miasto otaczała do niedawna jeszcze atmosfera, jaką oddychali oświeceni ludzie kiedyś z epoki późnego humanizmu. Jakież myśli mogły nurtować w umysłach ludzi ściślej zrośniętych z Krakowem, ludzi, mających „kolebką w Rynku, domu jednego z patrycjuszów, gdzie kominki i stropy, gdzie była poczta Montelupich, czy stała na kwaterze nie wiem już jaka ambasada wenecka, w domu pod Matką Boską..., w mieście, w którem takt życia regulowała trąbka hejnału i dzwony Marjackie?“ Jestem dobrze urodzony, gdyż urodziłem się w Krakowie — odpowiada jeden z nich, Kazimierz Marjan Morawski, historyk i wytworny essaista w wydanej właśnie książce o urokach Krakowa[1]).

Piękna książeczka Morawskiego utrzymana jest w tonie pamiętnikarsko-gawędziarskim. W kilku barwnych szkicach (wymienimy je z tytułów: Tusculum szlacheckie, Akademja wszelkich sciencyj pełna, Pięknoduchy nie z knajpy, Salon krakowski na przełomie dwóch stuleci, Wielkanoc w dawnym Krakowie, o zabawach, tańcach, wakacjach i pogrzebach) przed oczami naszemi przesuwają się oryginalne sylwetki Pawła Popiela „jak sunął rynkiem w archaicznym popielatym cylindrze“, Morawskich, Badenich, Raczyńskich, Tarnowskich, Smolki, Jacka Malczewskiego, A. Potockiego, Rudolfa Starzewskiego, Chłapowskich, kardynałów — Dunajewskiego, Puzyny i Dalbora, Górskich, Moszyńskich, Pusłowskich i wielu innych. Ze wspomnieniem tych ludzi odżywa „cały świat podstawowych zagadnień, zaklęty w odwiecznych kamieniach Krakowa“. A ludzi tych zna Morawski wyśmienicie, charakteryzując ich na podstawie obserwacyj własnych i czerpiąc obficie z ustnych, tradycyjnych kronik rodzinnych. Jak żywy staje przed nami ks. Stefan Pawlicki, teolog, filozof i historyk, o którym autor książki opowiada następującą anegdotę: Po obfitym obiedzie przeniesiono się na werandę, na której — w dusznej atmosferze popołudniowej — wymowny zresztą Neoplatończyk zdrzemnął się nieco. W tem wybuchła burza i jęły padać pioruny. Groźne zjawiska przyrody nie zdołały przecie wyprowadzić z ataraksji ojca Pawlickiego. Ale, gdy nabożna córka domu, chcąc odgonić burzę, jęła, tuż koło ucha, dzwonić mu dzwoneczkiem loretańskim, filozof otworzył oczy, kiwnął ręką i odezwał się, nie wymawiając litery „r“, aby się zbytnio nie natężać: „Poszę Pani, niech Pani przestanie z tym dzwonkiem, bo sko-o elekt-yczność dodatnia spotka się z ujemną, i tak może się zdarzyć nieszczęście“. Tu już encyklopedysta — dodaje Morawski — stanowczo wziął górę nad teologiem, w którego powiedzeniach i zwrotach trudno nieraz było rozeznać, gdzie kończy się mitologja i poganizm, a odkąd wkracza w swoje prawa sukienka ascetycznego zakonnika.

Najwspanialszym okazem z kolekcji szlacheckich arcyrarogów był Jan Popiel, cedzący, charakterystycznie się jąkając „esencje mądrości szlacheckiej, ultrakatolickiej, która go nawet do pochwał inkwizycji zachęcała“. Chrześcijaństwo jego „cechowała — jak u wszystkich pono członków tego rodu — jakby pogarda śmierci, oparta na chłopskiej prawdziwie prostocie“. Jej przykładów cytowało się sporo. Oto przed jedną z rezydencyj miejskich Popielów „zajechał był pan Jan z trumną, przeznaczoną dla brata, podczas kiedy ten brat, dobrze jeszcze żywy i siedzący w oknie, mógł się przypatrywać owemu pogrzebowemu iście widokowi — lub też, kiedy do karawaniarza na pogrzebie innego brata wołał był Jan, podpierając kroczącą za zwłokami matkę: „Powoli tam z panem Marcinem, bo matczysko nie nadąży!“ Z takich to rysów korzystał, Sienkiewicz, przebywający czas jakiś w tem środowisku w Krakowie, malując swych bohaterów.

Zwolna — owo Tusculum szlacheckie zmieniało się na przełomie stuleci, strojąc się w szaty biurokratyczne. Nie oznaczało to jednak demokratyzacji. Jak osobliwą formę przybierał czasem ów szlachecko-biurokratyczny ustrój tego dowodzi następujące wspomnienie. W czasie przyjęć w pałacu rządowym u delegata namiestnika pana Adama Fedorowicza ustawiono w przedsionku oddzielającym dwa obszerne salony „rodzaj luzującej się straży, złożonej z członków rodziny i zaufanych urzędników starostwa, zaopatrzonych w dodatku w co wyborowsze butelki z piwnicy delegata. Kiedy tedy pojawiali się we drzwiach wchodowych goście, dokonywała się natychmiast precyzyjniejsza od darwinowskiej czy lamarckowskiej ich selekcja: jeden ze strażników chwytał bez ceremonji nie powołanego do izby wyższej (na prawo od wejścia) radcę, inspektora czy profesora pod ramię, a, racząc go, dzierżoną w ręku butelką odstawiał do izby niższej (na lewo), podczas gdy arystokracji i rangom wyższym otworem stał dostęp i do dostojniejszych pokoi. Czasem parszywa owieczka, podochocona może starym miodem, mimo to przedrzeć się ośmielała przez uprzejmy kordon, sprężysta jednak straż prędko z tego rodzaju intruzami robiła porządek...“

Przytaczając te anegdoty w notatce, napisanej na marginesie studjum Morawskiego nie chcę, aby czytelnik nabrał fałszywego poglądu na charakter tego studjum. Cytowane wspomnienia umieszczone są bowiem przeważnie w przypisach marginesowych. W całej książeczce natomiast przebija ton szczerego ujęcia zjawisk i zagadnień, jakie poruszały umysłowem życiem Krakowa przed trzydziestu i więcej laty. W czasach ostatnich epoka ta stała się przedmiotem szczególniejszej uwagi przygodnych zazwyczaj historyków życia kulturalnego i społecznego Krakowa. Autor książki sądzi, że Boy'a „Kraków widziany z knajpy“, daltonizm krakowskiego piosenkarza — winien ulec poważnej rewizji. I jako konkretny, pozytywny przykład tego życzenia daje nam do rąk czarującą książeczkę, napisaną wykwintnie, przenoszącą nas z bruku do wnętrza prawdziwych świątyń staropolskiej kultury i wiedzy, pozwalającą nam na zrozumienie niejednego ciekawego rysu obyczajowego. A że przytem rzecz napisana jest barwnie i interesująco, z autentyczną, oczywiście znajomością tła, tematu i środowiska — książeczkę tą we wdzięcznej przechowamy pamięci.

T. B. SYGA.

[1]) K. M. Morawski. „Kraków przed trzydziestu laty“. Warszawa 1933. Odbitka z „Myśli Narodowej“. Skł. gł. w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 74. Wszystkie cytaty robię tu z książki K. M. Morawskiego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W tym roku upływa 25 lat od czasu, gdy ukazało się pierwsze wydanie „Historji literatury niepodległej Polski" Ignacego Chrzanowskiego. Książka ta wstępnym bojem podbiła polską publiczność i, choć niezatwierdzona przez austrjackie władze szkolne, weszła odrazu do szkół jako podręcznik, czyniąc konkurencję oficjalnemu, nader suchemu podręcznikowi S. Tarnowskiego. Żywość, barwność stylu, powab iście staropolskiego humoru i werwy, przejrzystość układu i inne jeszcze zalety pedagogiczne sprawiły, że młodzież rozczytywała się z zapałem w książce Chrzanowskiego, ucząc się z niej nietylko historji literatury ojczystej, ale i miłości sprawy polskiej, ducha obywatelskiego; tak, ta książka pierwsza urzeczywistniała plan prawdziwego wychowania państwowo - obywatelskiego, dziś tak zdegenerowanego w słabych elukubracjach różnych „państwowców". Nic dziwnego, że z koła uczniów prof. Chrzanowskiego wyszło tylu nietylko świetnych znawców literatury, ale i mądrych, ofiarnych obywateli - patrjotów. Nic też dziwnego, że „Historja literatury niepodległej Polski" miała tyle wydań nietylko w Polsce, ale i na obczyźnie, wśród emigracji polskiej czasów wojny; była tam ona, podobnie jak książki Sienkiewicza „pokrzepieniem serc", przedewszystkiem dlatego, że mówiła o Polsce — niepodległej. Cel, który przyświecał Chrzanowskiemu podczas pisania tego „podręcznika", odgadł już ongi jeden z pierwszych recenzentów (zdaje się Brückner) napomykając o bojowej nucie.. samego tytułu książki.

Dziesięć wydań miała „Historja lit. niepodległej Polski" w samym tylko nakładzie Gebethnera i Wolffa; ulegała drobnym zmianom i poprawkom, ale trzon zasadniczy pozostał bez zmiany; widocznie przez ćwierćwieku nie zestarzał się ani powab literacki tej książki ani też zawarte w niej hasła. Ostatnie wydanie, ogłoszone przed dwoma laty, nieco pomnożyło się w swej treści; nic dziwnego, boć książka ta, która dawniej była podręcznikiem na VI kl. gimnazjalną, stała się dziś podręcznikiem — uniwersyteckim! Dla szkół średnich istnieje skrócone jej opracowanie, podjęte przez autora wespół z ś. p. Konstantym Wojciechowskim, a ogłaszane również w wielokrotnych edycjach.

Na tem nie kończy się znaczenie tej książki—jubilatki. Oto ona stała się wzorem, punktem wyjścia i podnietą dla wielu podręczników literatury polskiej — zarówno szkolnych jak i naukowych. Wyraźnie śladem Chrzanowskiego poszły dwie autorki: Z. Rzepecka i M. Dynowska, przystosowując owoce jego pracy do nowych potrzeb i środowisk; nawet i J. Kleiner w swym niedawno wydanym podręczniku, acz odbiega znacznie od poglądów Chrzanowskiego, przecież mimowoli niekiedy naśladuje jego styl i jego sposoby przemawiania do młodocianych umysłów, a zapewne świadomie zachowuje ustalony przez Chrzanowskiego podział literatury na okresy. Kontynuacją podręcznika Chrzanowskiego jest poniekąd podręcznik literatury M. Kridla, którego ostatnie zeszyty, niedawno u Arcta wydane, omówimy wkrótce szczegółowiej; różni się on metodą, ale wiąże się faktami, zaczynając od tej daty, na której skończył Chrzanowski (1795). Także i „Sto lat myśli polskiej" (w których zresztą Chrzanowski brał czynny udział jako redaktor i współpracownik) nawiązują nić „Historji literatury niepodległej Polski". Obecnie, jak dowiadujemy się, sam prof. Chrzanowski ma wydać ciąg dalszy swego dzieła; urywek z tego „tomu drugiego literatury" — monografję A. Felińskiego — czytaliśmy z zajęciem w tegorocznym „Pamiętniku literackim". (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ukazała się niewielka rozmiarami, ale bardzo ważna w swej treści książka ks. J. Bord. *„Jesus—Ouvrier. Doctrine et culte" (Paris. Bloud et Gay* 1932) która winna się znaleść w każdej organizacji, w każdem zrzeszeniu chrześcijańsko-społecznem. Po ustaleniu w rozdziale wstępnym, na czem polega istota kultu w Kościele katolickim, autor przedstawia w dalszym ciągu swej pracy błogosławieństwo, jakieby spłynęło na świat cały z ustanowienia święta Chrystusa-Robotnika. Byłoby ono skuteczną obroną wobec wzrastającej fali komunizmu. Z jednej bowiem strony zdejmowałoby *odium* klątwy z ciężkiej, fizycznej pracy, ucząc i przypominając, że pracował Ten, który przyniósł zbawienie światu całemu, z drugiej strony kazałoby pamiętać o nauce ewangelicznej, która broni praw robotnika i żąda dla niego zasłużonej zapłaty. Chrystus znał—pisze ksiądz Bord —prawo Opatrzności o pracy, pochodzenie tej pracy, jej charakter kary, ale też i jej błogosławione skutki. Pojmował, że może ona stać się przyczyną wielkich niesprawiedliwości, ale wiedział też, że zdoła nieraz prowadzić do nieba. O obowiązkach i robotników i pracodawcy mówił nieraz w słowach prostych, lecz pełnych mądrości społecznej. Nauki te odbiły się w encyklikach Leona XIII i jego następców, które podkreślają dokładnie, jaką dostojność może mieć w sobie trud i znój fizyczny, i jaką siłę moralną mogą przedstawiać warstwy robotnicze, które bronić należy przed szkodliwemi wpływami masonerji i społecznego radykalizmu. Autor twierdzi słusznie, że wyniesienie tajemnicy nazarejskiego warsztatu na ołtarz mogłoby się stać cudownym lekiem na niedomagania społeczne doby dzisiejszej, a przytem byłoby świętem nie tylko jednej warstwy społecznej, lecz całego katolickiego świata, bo wszakże my wszyscy jesteśmy robotnikami w Winnicy Pańskiej i w tej czy innej dziedzinie winniśmy tak pracować, abyśmy się nie rumienili przed Panem—zgodnie ze słowami św. Pawła. Od czasu jak świat chrześcijański wypuścił ze swych rąk rozwiązanie konfliktów społecznych w myśl wskazań Ewangelji i pozwolił, by w dziedzinie tej zapanowały wpływy wrogów Kościoła, echa krwawej rewolucji francuskiej nie przestają brzmieć w walkach socjalnych współczesnej Europy. Ksiądz Bord dowodzi, iż ustanowienie kultu Chrystusa-Robotnika przyczyniłoby się do uciszenia tych ech, drażniących, bolesnych i tak bardzo szkodliwych w życiu społecznem ludzkości. (M. D.)

*

W maju b. r. upłynęło 15 lat od czasu słynnej „anabazy" (jak ją pierwszy nazwał Jerzy Bandrowski) Czechów przez Rosję i Sybir do Oceanu Spokojnego. Wypadki te nieraz były już opisywane i stały się tematem wielu wartościowych utworów literackich. U nas omówił je Jerzy Bandrowski w znanej książce „Niezwalczone sztandary" (II wydanie, Wydawnictwo Polskie, Poznań), w czeskiej zaś literaturze prym na tem polu dzierży wybitny poeta, uczestnik kampanji zborowskiej, uralskiej i nadbajkalskiej, dzisiejszy generał Rudolf Medek, który już w r. 1918 zasłynął jako autor pieśni o bitwie pod Zborowem (nowe wydanie p. t. *„Lvi srdce"*), a po wojnie ogłosił wielki cykl powieściowy pięciu częściach p. t. *„Legionárzska epopeja"* (nakł. J. R. Vilimka w Pradze); wprost bezkonkurencyjną wziętością cieszył się osnuty na zdarzeniach syberyjskich dramat Medka *„Plukovnik Szwec"*, który w ciągu jednego roku miał 3 wydania, a obiegł wszystkie sceny czeskie i słowackie, mając na niektórych po sto i więcej przedstawień w ciągu sezonu. Ale nie sama tylko literatura piękna zajmowała się ową zdumiewającą kampanją czesko-sybirską. Gen. R. Medek jest wszak zwierzchnikiem Instytutu Historycznego, badającego specjalnie dzieje walk o wyswobodzenie Czechosłowacji (*„Památnik Odboje"*); w wydawnictwie tem wyszło wiele cennych prac, opracowanych wzorowo na podstawie dokumentów (m. in. szkic J. Bandrowskiego o stosunkach polsko-czeskich). (J. B.).

*

Dokonywujące się obecnie w dziedzinie gospodarczej przemiany wskazują zupełnie wyraźnie na to, że rzemiosło będzie odgrywało w gospodarstwie społecznem większą rolę, niż w ostatnich czasach. Z drugiej strony staje się coraz bardziej aktualnem zagadnienie organizacji życia gospodarczego na nowych zasadach. W tych warunkach bardzo na czasie jest ostatnio wydana książka Dr. Kathariny Dieminger p. t. *„Die deutschen Imnungen und Handwerks kammern und die entsprechenden Einrichtgungen in Osterreich"*, stanowiąca CXVI wydanych przez Schausa *„Virtschaftsstudien" Leipzig* 1931 r. Książka ta nie jest drogowskazem, któryby określał, na jakich zasadach winna być oparta organizacja życia gospodarczego w przyszłości, natomiast zawiera dużo materjału, dotyczącego stanu obecnego w Niemczech i w Austrji w dziedzinie organizacji rzemiosła.

SZTUKA POLSKA ZAGRANICĄ

UKAZAŁA się niedawno na półkach księgarskich broszura Mieczysława Tretera p. t. „Pawilon Wenecki Sztuki Polskiej". P. Treter był Komisarzem wystawy polskiej na XVIII Biennalle w Wenecji w 1932 r. i w tym charakterze zdaje sprawę społeczeństwu z prac nad jej zorganizowaniem i z osiągniętych rezultatów.

Po raz pierwszy w 1932 roku sztuka polska w Biennale znalazła się w nowym własnym pawilonie. Dotychczas gnieździliśmy się kątem w pawilonach innych krajów (włoskiem), często z uszczerbkiem dla godności naszej sztuki. To też chodziło bardzo o to, by wyzyskać należycie atut własnego gmachu i by wystawa wypadła dobrze. Wystawy w Biennale, — pisał w związku z tem Wł. Skoczy-

las — „są jedynemi na świecie wystawami, na których sztuka prawie wszystkich kulturalnych narodów jest stale reprezentowana“, ztąd doniosłość propagandowa tych pokazów. Zastosowano tu metodę indywidualnego zapraszania artystów bez względu na ich przynależność do tego czy innego ugrupowania.

Pozatem porzuciwszy troskę o wszechstronną reprezentację sztuki polskiej, ograniczono się do małej ilości (17) wystawców, pokazano za to większą ilość (5 — 8) dzieł każdego z nich. Osiągnięto w ten sposób zwarty charakter wystawy. Według sprawozdania p. Tretera i licznych cytat z prasy zagranicznej, któremi dokumentuje on swe wywody — wystawa 1932 r. potrafiła zainteresować zagranicę i wzbudzić dla sztuki naszej należny szacunek. P. Treter przypisuje ten efekt właśnie zastosowaniu powyższej metody, polemizując z malkontentami i przytaczając liczne przykłady poprzednich niepowodzeń. Tak np. w 1920 r. w Paryżu, gdzie postanowiono „się pokazać“ i objąć wystawą możliwie wszystko, co w sztuce naszej posiadamy (od Matejki do ostatnich modernistów) osiągnięto nieoczekiwany rezultat. Prasa francuska, bądź orzekła, że właściwie nie ma różnicy (chyba na gorsze) między sztuką polską i francuską, bądź zastanawiała się czy wogóle mówić można o odrębnej sztuce polskiej. P. Treter zwraca tu uwagę na fakt, że zagranicę obchodzi tylko to, co jest od jej własnej sztuki odrębne, t. zn. co stanowi swoisty, narodowy charakter sztuki.

Temu zagadnieniu, zagadnieniu sztuki narodowej, poświęca autor bardzo ciekawy rozdział III. W popartym licznemi cytatami wybitnych krytyków zagranicznych i krajowych wywodzie, charakteryzuje sztukę „narodową“ i stwierdza, że tylko sztuka taka, która „nie zrywa naturalnej łączności z duchem swego narodu“ i „potrafi własną artystyczną treść wypowiedzieć we własnej artystycznej formie“ — „jest wiecznie żywą i młodą. Jeśli zaś chodzi o wystawy propagandowe zagranicą, tylko sztuka, wykazująca odrębność kulturalną Polski, ma znaczenie. Wśród wielu głosów obcych, przytoczonych w tej książce, opinja korespondenta *„Nationaltidende“* może najlepiej uzasadnia tę tendencję: „Naród — pisze ów korespondent — który chce być zrozumianym w świecie przez swą sztukę, musi przemawiać do niego swym ojczystym językiem, a nie międzynarodową gwarą“.

Książkę p. Tretera, bardzo starannie wydaną przez T-wo Popierania Sztuki polskiej wśród obcych, powinien przeczytać każdy, kto interesuje się sprawami naszej sztuki i kultury.

WŁODZIMIERZ BARTOSZEWICZ

W ROZMÓWNICY

Rewelacje „Myśli Narodowej“ o masonach w Polsce wytrąciły szereg pism z równowagi. Między innemi „Robotnik“ (z dnia 14 lipca) zastosował metodę tanich dowcipów, głównie tem dotknięty, że ośmieliliśmy się pana senatora S. Posnera nazwać nie Stanisławem, lecz Salomonem. Ale widać, że redakcja „Robotnika“ nie wie dobrze, jak było na imię najbardziej utalentowanemu feljetoniście socjalistycznemu. O ile wiemy, Posner nie zmienił wyznania, choć przed śmiercią prosił, aby go nie grzebać na cmentarzu żydowskim. Otóż żydzi nie noszą imion chrześcijańskich, choć je dla „elegancji“ używają. Przytem wyroki sądów w Polsce już nieraz opiewały, że używanie imion chrześcijańskich przez żydów jest oszustwem, w dodatku karalnem. Więc nie Stanisław Posner, lecz Salomon, i z tem właśnie imieniem figuruje to nazwisko w rocznikach czasopism polskich z przed lat trzydziestu.

OFENSYWA

PECH HANSA HEINZA.

ZAWSZE było dużo kłopotu z tym Ewersem, jak tylko pamięcią sięgnę. Ale teraz to już chyba mają największy. Bo i co robć teraz z tym fantem, który jednak nie jest frantem, no a jednak... przecież... tak dalej iść nie może, bo się zanosi poprostu na skandal. Zaangażowano się w niego już bardzo daleko, więc jak się teraz wycofać z tego. Bądź co bądź Hans Heinz Ewers przeszedł na drugą stronę Czerwonego Morza właściwie już rok, już dwa lata temu, już przez swoją szowinistyczną oczywiście znów dziko szowinistyczną powieść *„Reiter in deutscher Nacht“*.

Od dłuższego czasu wogóle z koszermaffją był co się zowie na bakier. Koszermaffja już miała inne nowe młode atuty literackie w rękach i niemi zagrywała. Podstarzały „perwerśnik“ nie robił już żadnego efektu, pachnął paczulą, *„fin de sieclem“*, „secessjami“, a tu były dokoła nowe, młode Freudysty i genialne młodziutkie komsomołki czy komsomałki, łączące misternie ciągoty do Lesbos z ciągotami do Czrezwy-czajki, w której się do mężczyzn strzela z coltów, pokazując im równocześnie dekolty... Czem wobec takich nowych dreszczów i wizyj mógł się jeszcze popisać Hans Heinz Ewers?

To też w miarę jak koszermaffja coraz chłodniej traktowała Hansa, Heinz stawał się coraz bardziej narodowy, aż wreszcie narodowo - napastniczy i rasista i Urgermane i Wotanowiec.

Na rok przed eksplozją w Berlinie i pierwszem całopaleniem *(Reichstagu)* już był gotów na przyjście Wodza i już czekał. Nic dziwnego, że kiedy Herman Chernsher z austrjackiego Braunau wkraczał na Kapitol (na Kapitał) autor: *„Reiter in deutscher Nacht“* powitał go gromkiem: *Heil Schnurbart! Heil Dolf! Heil Salvator!* zwłaszcza, że się znali dobrze z Monachjum, a Hans Heinz (jak go z młodości pamiętam) *Salvator-Bier* lubiał pasjami.

Zaraz też go rasiści przytulili do kosmatych piersi, jako konwertyta o sławnem nazwisku. Zaraz został jakimś komisarzem czy prezesem i zaraz wziął się do szybkiego napisania apoteozy tego bohatera narodowego — socjalistycznego, który padł w walce ulicznej z komunistami, sympatycznego poety - wagabundy Horst Wessela, którego tak oszkarądził i oszkalował ten poczwarny, parszywy gad Leizorek Rojtszwanz - Erenburg.

Galopem o Horst - Wesselu napisał dramat, czy też powieść, wszystko jedno, jednem słowem konjunkturalny obstalunek.

Im więcej atoli Hans Heinz Ewers wypychał się czy też zostawał wypychany na front, tem więcej listów i telegramów przychodziło do głównej kwatery pierwszej brygady szturmowej do „Braunes Hans“. Protestowały masowo Germany, Teutony, Arjowe, Indoeuropejczycy. Protestowały nawet różne korporacje i verajny na prowincji *aus dem dunkelsten Schwabenlande.*

I zaczęto biednemu Hansowi wyciągać wszystkie jego grzechy młodości i cytować całymi stronami, co Heinz kiedyś czarno na białem wypisywał. A to *szund - romany*, a to *gruzel* (groza) *geschichten*, a to *Allraune*, a to „Wampyra“, a to „niesamowite“ inwersje, a to djrboliczne na perwersje. Wyciągano mu okropieństwa i cudzołożnictwa z r. 1912 ba nawet z r. 1907.

Heinz Evers z r. 1933 *contra* Hans Evers z całego żywota! Jak można takiego Sodomczyka i Gomorystę wysuwać na czoło? Jak można było dopuścić aby takie *lumpari-vagabundus* brał się do hymnu ku czci zabitego przez komunistycznych apaszów Wessela. Czy innych nie było? Kto z literatury oprócz nowych młodych stanął po stronie Hitlerowców?

Okazało się więc, że milcząco *(qui tacet consentire videtur)* stoi przedewszystkiem sam Gerhard Hauptman. 70 letni jubilat mimo to naszczekiwań, to skomleń różnych grafomnów, ani drgnął. Patrzy, obserwuje i czeka. Maluczko, a grzmotnie w bandę zdrajców dezerterów, kalumniatorów potężną buławą.

Stanęli dalej: Herman Bahr z Wiednia, Halbe, Schoenherz, Stehr, Borries von Münchausen. W obronie niemców w literaturze po niemiecku pisanej oświadczyli się Kayserling, Eulenburg, Sieburg nazwiska, które same mówią za siebie, znane i sławne zagranicami.

Stanął wreszcie największy poeta współczesnych Niemiec nie zadający się nigdy i nigdzie z koszermaffją niezawisły, niezależny, wytworny i górny, postawą życiową przypominający naszego Norwida, a twórczością Faleńskiego (formą i fakturą Staffa), który w r. 1926 wydał tom (*„Das Neue Reich“)* przepowiedni i jasnowidzeń przyszłego przywódzcy,

tom dziś coraz częściej cytowany, a nawiasem mówiąc stwierdzający raz jeszcze jaka to przeraźliwa przepaść zionie zawsze między proroczymi wizjami wieszczów a... rzeczywistą rzeczywisiością ucieleśnień ich wizji.

Wielu więc było więcej wezwanych wybranych i godniejszych do apologji zaimprowizowanego choćby, ale bądź co bądź padłego w boju bohatera narodowego. Pospieszył się zaś i stanął pierwszy z gotowym dziełem Hans Heinz Ewers i reprezentował i przemawiał i pchał się na kazalnicę - trybunę, aż i wreszcie przebrała się miarka, urwało się ucho od dzbana, struna cierpliwości pękła.

Ewers na stos.

Już kiedy w Berlinie stanął stos, (na który w operze Meyerbeera prowadzą Rachelę) i kiedy na ten stos zwalono obok dzieł, które przetrwają i taką symboliczną ceremonją także i całe zwały pornokratycznego śmieciarstwa, kiłowatej babraniny i wypożyczalnianej tandety... poszedł na stos także i... H. H. Ewers!

Młodzież nie lubi kompromisów. Młodzież nie uznaje zbyt późnych nawróceń. Młodzieży nie zaimponował i nie oćmił miły Hans swoim Horst Wesselem.

Jak dalece idzie zmysł sprawiedliwości u nawet tych młodych idealistów - podpalaczy, na których tak się rzuciły zapienione koszermaffje wszystkich stolic świata niech świadczy ten fakt, wedle mego skromnego zdania etycznie wzniosły, że:

podczas, gdy skazano na spalenie przeszło 25 tłumaczonych autorów bolszewickich, a wśród nich także i tego odrażającego vielszrajbera Erenburga, to wyraźnie zaznaczono, że pójdzie cały Erenburg z wyjątkiem *ausser (ausser)* dzieła Erenburga o komuniście Baboeufie! *Alles ausser Baboeuf!* Tacy psiakrew pedanci! nawet, gdy palą masowo książki... natomiast...

Natomiast pięć (5) powieści dygnitarza Hitlerowskiego, jednego z prowodyrów, z czołowców, pięć powieści H. H. Ewersa całkiem bezceremonialnie skazano na autodafe i całkiem ostentacyjnie spalono!!!

Takiego to pecha ma autor... *Alrauny!* Cicho jakoś i dyskretnie przefyrtnął się na drugi brzeg do Nazich taki P. M. Lampel, znany w Warszawie dramatysta, który w przedostatnim swym utworze: *(Pacht au Kameraden!)* radził wziąć za mordę Nazich. Przebaczono mu. Prześlizgnęły się bocznymi drzwiami i kuchennymi schodami nawet poniektóre starozakonniki (Salten, A. Zweig?) Duże znaczenie wśród intelektuelów i clerców czysto gormańskich ma poeta o nieco polskiem nazwisku Erich von Kochanowski!... A tymczasem pechowiec Ewers będzie musiał lada chwila pakować się, o *„laufpass“* zdaje się prosić i się wynosić...

Hultajstwo.

Pod jego to także adresem pisała teraz *„Deutsche Rundchau“* w artykule p. t.: „Verlumpuny“ (Hultajstwo) co następuje:

„Narodowo-socjalistyczni przywódcy widzą się zmuszeni coraz ostrzej występować przeciwko zalewowi rycerzy konjunktury i pasorzytom narodowej rewolucji. Węszenie za korzyściami w związku z przynależnością go partji oraz donosicielstwo najohydniejszego gatunku, dają się stale obserwować u tych elementów. Partja narodowo - socjalistyczna nie będzie tracić dużo czasu, aby oczyścić swe szeregi i schwycić tych szkodników za kark, albowiem takie rozwydrzenie musi spowodować bardzo smutne skutki.

Biedny Hans! Biedny Hans! W jakiej to się teraz dwuznacznej i niemiłej znalazł się sytuacji“... Niby jest, a niby właściwie go już niema. Niby na samym froncie, a lada chwila na samym tyle. I co mu to pomogły: *„Reiter in deutscher Nacht“*? Tak kiedyś lubiał Polaków i polską cygauerję w Monachjum! Całą wojnę przetrwał bez słowa na Polaków. A teraz nie wytrzymał i w tej powieści i nas obsmarował, żeby mieć pierwszy patent na narodowca, bo Polenkoller to był aż do maja r. 1933 synonim patrjotyzmu niemieckiego. I teraz biedny Hans Heinz osiadł jakby na mieliźnie. A co go zgubiło?

Stare grzechy...

Gdzie pechu przyczyna, praprzyczyna?... Oto pociąg! pociąg!

Hans Heinz Ewers miał zawsze pociąg do pociągów, do jazdy, do włóczęgi, do włóczykijstw, do wagabundowania, do globetrotterstwa, do egzotyzmu. Przez całe lata nie konwenjowała mu, nie smakowała mu ojczyzna własna.

Cosmopolisson. Rdzennego ale kulturalnego, subtelnego, miłego, ludzkiego Niemca pociągało tylko wszystko co obce, co nieswojskie co *egzo.* Pociąg do pociągów. Mógł temu pociągowi zadość czynić, gdyż zarabiał dużo i jeździł sobie po całym świecie. Z tym pociągiem do egzotyczności łączył się jednakże już od lat dorabiania się pociąg do surogatów egzotyczności, do namiastków lokalnych egzotyczności. Ani Malajek ani Maorysek ani dziewcząt z Tahiti lub Annamitek tańczących tak na codzień oczywiście w Niemczech nie było. Czasem przyjeżdżały Syngalezy. Czasem Aszantki się trafiły. Samiczki z rasy dzielnych teutonów, troszeczkę go poprostu cholernie nudziły, a Wschód (Orient) wabił i nęcił. Sięgał więc chciwymi palcami po to, co było pod ręką egzotycznego, wschodniego innego, odrębnego, tajemniczego, demonicznego. Szczególnie fascynowały Hansa jerychońskie różyczki z nad... z nad Wisły... Lilianny... Lility... Lilitki. Poprostu tracił głowę, gdyż dziewczę czarnookie miało nazwisko jeszcze na... berg lub... stejn, a imię już słowiańskie, lechickie, nadwiślańskie (nowela: *„Der letzte Wille der* Stanisława *d'Asp“*). Zanim poznał... autentycznie namacalnie Hinduski i Arabki, to Lotte Lewi, Lea Lewi, Halka Lewi były dlań synonimami inkarnacjami wszystkiego co... pociągające... tajemnicze, estetyczne, demoniczne, przepastne („Wampir“). A że i publiczność to lubiła i nakładcy (przeważnie tej samej maści) i krytycy i recenzenci i wypożyczalnie książek, więc zaroiło się w jego twórczości, w jego dorobku od tych egzotyczności i niesamowitych wampów i czarownych ośmiornic (*octopu).* Jego przyjaciel, a nasz Lilien malował nawet jego portret na tle tych lilji z Libanu.

I teraz mu to wszystko w jego obozie własnym wywlekają. Nie dość nasycili swą furję teutońską tem, że mu spalili *coram publico* pięć powiastek z różnemi Lilitami, ale jeszcze mu wypominają, że pociąg do pociągów i egzotyczności pchnął go aż ku napisania entuzjastycznej przedmowy do zbiorowego wydania dzieł syonisty Zangwilla! A po co to napisał „historyczną“ powieść: *„Die Juden von Web“*: A po co to już w r. 1907 w *„Berliner - Tagblacie“* wywalił obronę konieczności mieszania się ras ze sobą, bo Niemcy zbyt rdzenne są poprostu i zbyt głupie i ograniczone.. i tępe itp.

No, a że to, jak wiadomo na pochyłe drzewo lada kozak skacze, że nieszczęścia nigdy nie idą w singla tylko zawszę dużą kupą, że dalej jak się na kogo spikną wszyscy to mu już żaden starozakonnik nie pomoże, no i wreszcie, że jak kto miał taki... pociąg to zawsze za sobą pociąga pewne kohnsekwencje... więc ostatnio wyciągnęli Hansowi Heinzowi jeszcze jedno! Poprostu, żeby go już troszeczkę dobić, żeby już ani zipnął tylko westchnął i jak to mówią: kipnął.

Juden und Ich.

W r. 1912 była taka ankieta, taki kwestjonarjusz rozesłany do wszystkich znakomitości (literatów) niemieckich p. t.: *„Juden taufen“.* Znaczy się, co myślą o kwestji izraelickiej ewentualnie żydowskiej?? Wynik ankiety był do pewnego stopnia stuprocentowo przewidziany zgóry, gdyż wszyscy ci panowie i panie pozostawali czyli egzystowali będąc jak to się mówi ordynarnie na utrzymaniu (na stajni) izraelitów.

Odpowiedzieli pięknie i ciepło: Bahr, Sombart, Dehmel, Mann jeden i drugi i wielu innych wszyscy oczywiście w sensie kohnsekwentnej assemilacji i łączyć się, żenić się, brać pieniądze, nie gardzić posagami (i posągami!) pisać, chwalić, mieć dzieci, ewentualnie nawet jeść koszer (jeśli tego teść się domaga), kochać ojczyznę, ale jeszcze więcej cały świat w ogólności, wszystkie rasy! ludzkość!

Odpowiedział oczywiście i H. H. Ewers... już autor *„Alrauny“*, ale jeszcze nie... „Horst Wessela“... Odpowiedział po swojemu t. j. superlatywnie, maxymalnie, z pedałem, na całego, *con fuoco* bo... co *forsa: non est salus extra... Saulus...*

I to mu teraz wywlekli z końcem czerwca. Napisał kiedyś *„Judien und Ich“*, a oni mu twardo piszą: *„Juden und Du...* I pokutuje teraz biedak za pociąg do pociągów... do egzotyczności, często bywało... nadwiślańskich.

Co tam z nim teraz zrobią... to w wielkiej mierze będzie też decydował.. poeta germański Erich von Kochanowski.......

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Rzecz domaga się formy scenicznej. „Czas“ opisuje ją stylem referatu dyplomatycznego. Był bankiet, podejmował prezydent starożytnego miasta Krakowa Kaplicki (Kapeller). Gościem honorowanym był p. Karol Radek (Sobelsohn), jako przedstawiciel Rosji Sowieckiej. Brali pozatem udział płk. Stieglitz-Ścieżyński, b. min. Miedziński, korespondent „Gazety Polskiej“ p. Otmar (Berson) i in. „Czas“ z zadowoleniem przyjął oświadczenie p. Radka:

„że bliższe zetknięcie z polską rzeczywistością, zmieniło jego dotychczasowy pogląd na Polskę. W ogólności reprezentuje on obecnie kierunek pojednawczy, dostosowany do najnowszej polityki Bolszewji“.

Oświadczenie — tem ciekawsze, że p. Radek miał już kilka poglądów na Polskę: jako mieszkaniec Tarnowa, jako publicysta „Naprzodu“, potem jako publicysta niemiecki, wreszcie—sowiecki. „Naprzód“ opisuje te rzeczy z sarkazmem. Brak dzisiaj ludziom pogodnego wejrzenia, jakie miał Gogol.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM